

TATERNIK

Nr 4/2008 • UKAZUJE SIĘ OD 1907 ROKU



Spis treści:

Od redakcji _____	1
Pharilapcha (A. Sokołowski) _____	2
Pamir (R. Róg) _____	7
Nanda Devi East – debiut polskiego himalaizmu (J. Kurczab) _____	16
Nowe drogi w Tatrach _____	20
Zagadki Kotła pod Polskim Grzebieniem (A. Z. Górski, P. G. Mielus, H. F. Rączka) _____	24
Jaki powinien być dobry instruktor? (B. Kowalski) _____	28
Mięśnie brzucha (K. Drozda) _____	30
Z teki rysownika (M. Konecki) _____	33
Różnorodności _____	34
Nasze skały (M. Biedrzycki) _____	40
Jaskinie _____	43
Marzena Skotnicówna (M. B. Bednarz) _____	44
Pożegnania _____	45

Zdjęcie na okładce:
„Rejon szczytu Pharilapcha”, fot. Andrzej Sokołowski

Zdjęcie obok:
Wspinaczka w dolinie Gastein, lodospad Federweisfall,
fot. Marcin Miczke

**ANTYKWARIAT GÓRSKI
„FILAR” H. Rączka**

Alabastrowa 98, 25-753 Kielce
tel. 041-345-62-19, 0502-397-162
e-mail: filar@antykwarjat-filar.pl
www.antykwarjat-filar.pl



Od redakcji

Mija właśnie 70 lat od chwili, którą uznajemy za początek polskiego himalaizmu. W 1939 roku w przededniu rozpoczęcia II wojny światowej Jakub Bukaj i Janusz Klarnier zdobyli Nanda Devi East (7434 m). Był to

ogromny sukces, który zapoczątkował okres wzlotów i upadków polskiego himalaizmu. W czasach powojennych okoliczności nie pozwalały Polakom na eksplorację odległych Himalajów. W latach 70-tych nabraliśmy wiatru w żagle i przez dobre dwie dekady zadziwialiśmy świat naszymi sukcesami. Wraz z początkiem kapitalizmu i otwarciem świata dla Polaków pojawiają się w górach wysokich coraz liczniej. Nasza obecność przyjmuje różne oblicza. Dla wielu celem jest samo osiągnięcie szczytu czy przekroczenie granicy 8000 m. Coraz liczniej korzystamy z opieki wykwalifikowanych przewodników. Są też alpiniści, którzy pragną

osiągnąć wierzchołek nową drogą, trudną drogą czy też zmagając się z himalajską zimą.

Pamiętajmy jednak zawsze – zwłaszcza, gdy zabieramy się za stopniowanie i ocenianie wyników naszych górskich osiągnięć – że wszystkich tych ludzi łączy to, iż spełniają swoje ambicje, sięgają swoich marzeń, zdobywają – jak to trafnie określił nieodżałowany Mirek „Falco” Daśal – swój własny Everest.

Właśnie teraz swoje marzenia spełniają Artur Hajzer, Robert Szymczak i Don Bowie czekając od kilku tygodni na pogodę pod Broad Peakiem (8047 m). Osiągnęli już wysokość 7000 m, w chwili oddania tego numeru do druku walczyli o szczyt. Swoje marzenia spełniali też himalaiści 70 lat temu – tekst Janusza Kurczaba, opisujący ich wejście, znajdziecie w tym numerze „Taternika”. Swe marzenia chcą zrealizować również uczestnicy wyprawy jubileuszowej na Nanda Devi East, którzy pragną w bieżącym roku powtórzyć sukces sprzed lat.

To właśnie z marzeń bierze się to, że wyruszamy w góry. Mam nadzieję, że przewracając kartki „Taternika” pomyślicie o kolejnych wyzwaniach, kolejnych podróżach, kolejnych wspinaczkach...

Jagoda Adamczyk-Ceranka



Pharilapcha

Andrzej Sokołowski

Pomysł wyjazdu do Nepalu zrodził się już w roku ubiegłym, kiedy to do listopada 2007 roku musieliśmy podać miejsce i termin wyprawy dla Komisji Wspinaczkowej Wysokogórskiej PZA. Wyprawę zaplanowaliśmy na listopad 2008, wiedząc, że jest to okres po monsunie, a pogoda jest wówczas przeważnie ustabilizowana. Tuż przed samym wyjazdem ze składu wyprawy wypadł Marcin Kacperek, który doznał urazu głowy. Zmieniliśmy nieco plan, który wcześniej zakładał wspinaczkę w dwóch niezależnych zespołach i zaplanowaliśmy wspinaczkę w trójkę. Pojechaliśmy więc w składzie: Michał Król z Nowego Targu, Przemek Wójcik spod Giewontu oraz ja. Cel był dla nas jak najbardziej odpowiedni: po pierwsze wysokość szczytu – „niski” sześcioletnik, 6017 m (ale już sze-

ściotysięcznik). Nikt z nas nie był wcześniej na tej wysokości, więc wybór takiego szczytu był sensowny chociażby ze względu na to, że samo wspinanie odbywało się tak naprawdę poniżej 6000 m. Po drugie, według fotografii z różnych stron internetowych zejście ze szczytu wschodnim kuluarem wyglądało na niezbyt trudne. Jak zwykle przed samym wyjazdem wszystko załatwiliśmy na ostatnią chwilę, ale szczęśliwie w końcu znaleźliśmy się w samolocie...

W rejon szczytu Pharilapcha trafiliśmy po kilku dniach pobytu w Nepalu. Naszą bazę założyliśmy w osadzie Machermo na ok. 4400 m. Tu już zaczęła nam lekko dokuczać wysokość, co było związane z niepotrzebnym pośpiechem przy podejściu. Wiedzieliśmy, że może nas dopaść choroba wysokościowa, ale widocznie magnes przyciągający nas do ściany był silniejszy! Zamiast poczekać kilka dni na tej wysokości, już bodajże drugiego dnia poszliśmy ze sprzętem pod ścianę... Mieliśmy bóle głowy, mdłości, brakowało nam sił, ale szczęśliwie zaliczyliśmy nocleg na 4900 m. Po biwaku zeszliśmy do Machermo na odpoczynek – gdzie czekaliśmy przez kilka dni i choć codziennie była piękna pogoda, my jednak baliśmy się, że mogą przyjść chmury i opady. Każdy z nas borykał się z takimi wątpliwościami.



Droga na szczyt



Zespół



Linia zejścia

Po kilku dniach, pełni wigoru podeszliśmy na lekko pod ścianę, mieliśmy przy sobie tylko śpiwory i namiot, bo resztę rzeczy już tam zdeponowaliśmy. O szóstej rano zaczęliśmy wspinaczkę. Prowadziłem pierwszy blok wyciągów, najpierw dość trudny wyciąg lodowy za ok. WI4+ na pełne 55 m. Kolejny wyciąg trochę nas zatrzymał – z daleka wyglądał na łatwy lód, jednak przy pierwszej próbie ominięcia go terenem skalnym, kruchym i pozbawionym asekuracji, zrezygnowaliśmy z tej możliwości. Po drugiej próbie bez wcześniejszego odpadnięcia lód puścił i według nas mógł mieć trudności ok. WI5+. Był pionowy, odparzony i trochę poprzerwany, było trochę asekuracji ze skały. Po tych dwóch wyciągach lodowych o łącznej długości ok. 100 m zaczął się główny kuluar, który miał długość ok. 300 m, w jego połowie był 50-metrowy próg lodowy, który już poprowadził Przemek, wyceniając go na ok. WI5. Następnie były jeszcze dwie długości liny łatwego, nieasekurowanego terenu, które przeszliśmy z lotną. Byliśmy już prawie pod monolitem, skąd nieco w lewo do góry piął



Biwak w ścianie

się kuluar miksowo-lodowy. Był długi na kilka wyciągów, najtrudniejsze z nich sięgały stopnia M6 i WI5. Obserwując ten fragment ściany z dołu, spodziewaliśmy się większych trudności, ale okazało się, że w miarę puszczało, choć nie było nam łatwo. Po przejściu kuluaru wyszliśmy na strome pola śnieżne i już po zmierzchu szukaliśmy dogodnego miejsca do spania. Znaleźliśmy małą platformkę śnieżną, która po podkopaniu dawała trzy miejsca siedzące. Byliśmy bardzo zmęczeni, bo tego dnia zrobiliśmy ok. 500 m ściany. Następnego dnia wspinaczkę zaczęliśmy dość późno, Michał poprowadził teren śnieżno – skalny, ale sypki śnieg skutecznie wszystko utrudniał – szukanie rys do asekuracji oraz samo wspinanie. Tego dnia był jeden trudny wyciąg, Przemek poprowadził kominek, który wyceniliśmy na M6 z bardzo słabą asekuracją. Po nim był jeszcze łatwy wyciąg i założyliśmy kolejny biwak na platformce, na której już nawet można było się położyć. Poszliśmy szybko spać i dzień następny rozpoczęliśmy od wspinania łatwym mikstem. Michał zrobił trzy wyciągi i wyszedł na ewidentny filar, który był oświetlony przez



Przemek Wójcik na prowadzeniu WI5

słońce. Nastąpiła szybka zmiana na prowadzeniu i Przemek pociągnął kolejne wyciągi. Wspinanie na samym filarze było różne – od samego śniegu do suchej skały, trudności do ok. V.

Kolejny wyciąg był ryzykownym trawersem idącym skośnie do góry po stromych śniegach. Cukier – śnieg osypywał się, a pod nim była czysta sucha skała. Takie wyciągi kosztowały nas najwięcej wysiłku, po nich jednak napotkaliśmy najtrudniejszy odcinek. Przejąłem prowadzenie. Była to lekko pochylona płyta z dobrą, o dziwo, asekuracją, lecz trudnymi ruchami. Czasem ostrza dziabek były osadzone bardzo płytko i niepewnie, poza tym niekiedy trzeba było czyścić skałę ze śniegu. Wyciąg kończył się prawie pionowym kuluarkiem, również trudnym. Pierwszą część wyciągu wyceniliśmy na M7, drugą na M6. Cały miał około 50 m. Następny również sprawił nam trudności – był to kruchy pionowy komin z wyjściem w świeży, nieprzyjemny śnieg. Trzeba było bardzo uważać, by nie spaść, bo asekuracja była



Buldering w dniu restu

iluzoryczna. W ten sposób wyszliśmy znów na filar i znaleźliśmy dość dobre siedzące miejsce na trzeci biwak. Rano poczekaliśmy na słońce, które nas znakomicie ogrzało. Do końca wspinania – jak się później okazało – mieliśmy jeszcze dwa pełne wyciągi. Na przedostatnim Przemek zrzucił, podczas



Grań szczytowa



Przemek w ścianie

próby zaklinowania dziaby, spory głaz, który leciał prosto na nas, jednak na szczęście odbił się i przeleciał kilka metrów przed nami. Ostatni wyciąg też był ciekawy. Był to bardzo kruchy komin, który latem miałby może V, ale takie, że każdy chwyt się wyciąga i wkłada z powrotem dla partnera poniżej. Kiedy skończyła się skała, zaczął się firn, który wyprowadził nas na grań szczytową. Z tego miejsca już na lekko (tylko z jedną dziabką) we-



Aklimatyzacja pod ścianą

szliśmy na szczyt. Po pół godzinie szczytowania zaczęliśmy schodzić najpierw śnieżnym stokiem, a później wykonaliśmy szereg zjazdów wschodnim kuluarem. Zaliczyliśmy schodzenie stromymi piargami już o zmroku i gdy już byliśmy w bezpiecznym terenie, zatrzymaliśmy się na biwak. Następnego dnia w południe byliśmy w Machermo.

Mieliśmy jeszcze jakiś plan na wspinanie, ale tak nam przemroziło palce, że fizycznie nie było takiej możliwości. Jesteśmy bardzo zadowoleni z naszej drogi, dobrze nam się wspinano w trójkę i liczymy, że jeszcze gdzieś się kiedyś razem wybierzemy. Do zlokalizowania się w ścianie mieliśmy tylko aparat ze zrobionym wcześniej zdjęciem ściany. Wspinając się, nie szukaliśmy na siłę trudności, wręcz odwrotnie – szliśmy jak najłatwiej. Jak się okazało, było zupełnie inaczej niż na pierwszy rzut oka – to, co wydawało się, że będzie łatwe – było trudne i odwrotnie.

Rejon jest bogaty w szczyty, na których można otwierać nowe drogi. Dodatkową sprawą, która może zachęcić Was do wypadu do Nepalu jest stabilna pogoda, znacznie lepsza niż w Alpach. A prosta organizacja wyprawy sprawia, że rejon ten w dzisiejszych czasach stanowi doskonałą alternatywę dla wyjazdów do np. wciąż deszczowego Chamonix.

Cały zespół bardzo dziękuje sponsorom, bez których moglibyśmy tylko czytać o wspinaniu:

**Polskiemu Związkowi Alpinizmu,
Subaru Import Polska,
Directalpine,
Regamet,
Freerajdy**

Zdjęcia: Andrzej Sokolowski



Michał i Przemek na szczycie

Pamir Robert Róg

Wyprawa w Pamir Tadżycki odbyła się w lipcu i sierpniu 2008 roku. Było to pierwsze wejście w sezonie na Pik Korzeniewskiej – Irek Waluga, wejście w stylu alpejskim – Robert Róg i Marek Liwski. Marcin Kaczkan zdobył jako trzeci z Polaków tytuł „Śnieżnego Barsa”, a Irkowi i Maćkowi Stańczakowi brakuje tylko jednego szczytu do tego tytułu. Oli Dzik, która jako jedyna kobieta na wyprawie objęła funkcję nieformalnego kierownika, zostały do zdobycia dwa wierzchołki. W wyprawie brali udział również Dawid Stec i Szymon Wawrzuta z Grupy Beskidzkiej GOPR. Wszyscy uczestnicy weszli na oba szczyty (oprócz Oli, bo na Korzeniewskiej była rok wcześniej i Marka, który ze względu na wcześniejszy wyjazd nie mógł uczestniczyć w akcji na Somoni).

Pik Korzeniewskiej 7104 m

Pik Somoni (Kommunizma) 7495 m

**„Dwie góry patrzą na siebie,
ale nigdy się nie spotkają...”**

pasterz tadżycki



Wyrzucam plecak ze śmigłowca i rozglądam się ciekawie wokół. Poznaje nasz namiot – Mareczek nie próżnował, przyleciał z Dżirgitalu raptem godzinę przede mną, a żółte Khumbu już stoi na równej platformie. Zanim tam się znajdzie, szybki bieg do małej trójkątnej budowli. Podwójny sukces – zdażyłem i papier jest na miejscu. Efekty bliskich kontaktów z lokalną florą bakteryjną będą nam towarzyszyć do końca wyprawy...

Kazachstan, Kirgizja, Tadżykistan – coraz dalej na południe, a właściwie to na wschód, zagłębianie się co kilka lat w kulturę i zwyczaje Azji. Pelen spokój i zdziwienie – moje, na widok ich luzu oraz ich, gdy widzą naszą nerwowość. A jak tu się nie denerwować, gdy czeka się w upalnym Duszanbe, a potem w szarym i zaniedbanym Dżirgi na dawno obiecany lot – śmigłowiec do bazy na lo-



Zachód słońca nad bazą – po lewej żebro Borodkina na Piku Somoni (fot. Robert Róg)



Pik Somoni – kopuła szczytowa (fot. Robert Róg)

dowcu Moskwin. Niestety, nie mamy szczęścia do agencji, która ma nas w głębokim poważaniu i w górach jesteśmy dopiero po tygodniu od wylotu z kraju. Odbijamy to sobie przemycając do śmigłowca dobre 40 kg nadbagażu. Tak karzemy niecne monopolistyczne praktyki.

Baza, ciekawie położona na morenie pomiędzy lodowcem Waltera i Moskwin, różni się od tych poznanych wcześniej pod Chanem i Leninem. Podobna wysokość – około 4200 m, ale jest jakaś roślinność, są zwierzęta i oszklony, z ogromnym talerzem anteny satelitarnej budynek stolówki-świetlicy, szybko przemianowany przez nas na „Akwarium”. Jest i boisko do siatkówki (zamiast parkietu – pamiński szuter), stół do ping-ponga i drażek do ćwiczeń, gdyby komuś znudził się alpinizm i chciał zmienić dyscyplinę. Jakby nie było – zbliża się czas Igrzysk w Pekinie. Rok wcześniej po bazowym jeziorku można było popływać kajakiem. Ale po wspinaczkę największe wzięcie i tak miało pływanie, o ile tak można nazwać wylegiwanie się w lodowatej wodzie po wyjściu z sauny. Jura – szef tego biznesowego przedsięwzięcia na wysokim poziomie (mowa tylko o wysokości n.p.m.) dał się przekonać argumentom Mareczka, że my – Polacy, a więc Słowianie jak i on, nie możemy płacić tyle

samo co westmani (w znaczeniu inni, bo dotyczyło to również Turków i Irańczyków). Jura z uśmiechem inkasował więc od nas po 5 € za pakiet gorącej prysznic + sauna, przy nominalnej cenie 5+10 €. Negocjacyjno-biznesowe zdolności Marka zrobiły na wszystkich spore wrażenie. Do tego stopnia, że Szymkowi przyśniła się scena, w której Marek podczas lotu śmigłowcem telefonicznie negocjuje z prezydentem Tadżykistanu kupno atrakcyjnych działek nad powstającym jeziorem zaporowym.

Urządzenie bazy idzie sprawnie, dwóch, jak by nie było, inżynierów, czyli ja i Marek konstruuje z kamieni, desek i zdobycznego kawałka blachy spiżarnie i kącik kuchenny – jesteśmy z siebie dumni. Mamy pewien komfort, ale nie korzystamy z niego na razie, idziemy do jedyńki.

Droga wiedzie początkowo przez nietrudny lodowiec, ale trasa poprowadzona jest nieciekawie. Potem przechodzimy już Moskwinę własnym wariantem, dokładnie w poprzek, co oszczędza nam czasu w labiryncie lodowych turni i strumyków. Droga mija wtedy śmietnik, co zawsze w podobnych sytuacjach wzbudza we mnie smutne refleksje na temat ekologii. To pojęcie nie istnieje tutaj, wszystkie odpadki – niepotrzebne rzeczy z wyposażenia bazy, folie i kartusze – ładują w szczelinie. Specjalny

traktorek zabiera beczki ze śmieciami z całej bazy, nie ma żadnej, nawet wstępnej segregacji, nie mówiąc o utylizacji. Aż prosi się, aby pakować worki do śmigła, które w większości przypadków na dół zlatuje „na lekko”. Ot, marzenia lekkoduchów... Wydaje się, że nikomu taki stan rzeczy nie przeszkadza, nawet, zdawałoby się, wyedukowani i kulturalni Europejczycy traktują najbliższą szczelinę jak przydrożny kosz, a często po kolorowych papierkach, beztrudnie pozostawionych na miejscu biwaków, można rozpoznać nację. Cóż, co mi tam, myśli sobie niejeden z nas, dzisiaj jestem w Pamirze, jutro w Andach, nigdy tu już nie przyjadę, mogę śmiecić. Ola rzuca mnie na kolana znosząc z jedyńki przytroczonego do plecaka (pod którego ciężarem przysiadam) worek ze śmieciami. Na niewiele zdaje się to poświęcenie, wór zamiast w szczelinie na 5100 m, ładuje na 4300 m. Ale, przynajmniej, działanie szlachetne.

Podejście do obozu I na 5100 m jest bardzo nużące i nie lubiane przez wszystkich. Ścieżka wznosi się, opada, omija skalne żeberka, przekracza potoki i skalne usypiska. Kilka poręczówek z czegoś, co tylko kształtem przypomina linę. Włosy na brodzie stają mi dęba, jak widzę sposób ich mocowania, staram się ich nie dotykać, co nie zawsze jest możli-

we. Fotografuję takie „kwiatki” dla celów szkoleniowych. O dziwo, mimo nawet regularnego obciążania przez „wycieczki” spod znaku Summit Club DAV-u, Turków i Irańczyków żadna lina się nie zrywa. Czyżbym był przewrażliwiony i nie dowierzałem sznurkom do białizny „made in Tajikistan”?

Jedyńka położona jest na kamiennym stoku, gdzie z trudem można znaleźć niewielkie platformy pod namiot. Dla tych, którzy dotarli później, zostaje miejsce niżej, przy samym lodowcu. To, jak określiła Ola, grupa wysokiego ryzyka lub desperaty, jak mawiali Cześci. Pierwszej nocy budzi nas potworny huk, słychać łomot pędzących mas śniegu, namiotem targają ostre poddmuchy. Patrzmy na siebie z Markiem, jednocześnie mówimy „spie...” i usiłujemy wyskoczyć ze śpiworów. Gdy kończymy otwierać zamki namiotów, nastaje cisza i naszym oczom ukazują się namioty przysypiane kilkucentymetrową warstwą śniegu. Nachodzi mnie refleksja, że boso, po nocy i w samych majtkach daleko byśmy nie zabiegli... Może lepiej zostać zasypanym w namiocie? Przez całą noc trwa exodus spanikowanych Irańczyków i Turków z dolnych platform. Jastrzębiacy okazują się twardzielami i pozostają na miejscu. Rano lawinisko robi wrażenie – lodowiec zasłany śniegiem i sporymi



Pik Korzeniewskiej w całej krasie – widok z drogi na Somoni (fot. Robert Róg)



Pik Korzeniewskiej – lawina pyłowa ogarnia obóz pierwszy (fot. Marek Liwski)

blokami lodu, czoło przewaliło się przez morenę boczną i zasypało miejsce, gdzie nawet król chodzi piechotą. Zostać odkopanym za parę tysięcy lat, jak Ötzi, na dodatek z opuszczonymi spodniami... mało honorowa sprawa.

Dwa dni później rączy kłus bosy po kamieniach uskuteczniłi beskidziacy i przyznam, zabiegli nad podziw wysoko. W tym czasie pomiędzy „starymi wyjadaczami”, którzy z pełnym spokojem, z aparatami w rękę obserwują panikę w obozie toczy się dialog:

M: Ratuj zupe!

R: Nie mogę, robię zdjęcia lawiny.

M: Ratuj zupe, śnieg ją zasypie!!!

R: Nie mogę, robię zdjęcia.

Biały tuman ogarnia nas i zupe. Na obiad jemy coś innego...

Do jedynki plus, jak nazwaliśmy obóz na 5300 m, idzie się godzinę po osypujących się kamieniach, wzdłuż lodowcowego potoku. Czuję się trochę jak w kamieniołomie, ale za to otwiera się widok na wiszący lodowiec, który regularnie „produkuje” lawiny i dostarcza wszystkim tyle emocji.

Stromy stok śnieżno-lodowy wyprowadza do dużego kotła, na którym stoją namioty obniżonej dwójki. Stok jest do uważnego przejścia bez ase-

kuracji, poręczówki wydają mi się tutaj zbędne. Zmieniam zdanie przy zejściu, po śniegu zostało wspomnienie, a kruchy lód nie daje pewnego oparcia rakom. Poręczówek i tak nie używamy z banalnego powodu – po prostu ich nie ma, leżą na dole z wytopionymi śrubami. Kociołek wydaje się bezpieczny i przytulny, jednak okazuje się to złudzeniem. Na wydeptanej ścieżce nogi wpadają mi w szczelinę, na powierzchni trzyma mnie plecak i odruchowo wyciągnięte na boki ręce. No tak, nikt nie chodzi tu związany, a przecież cały czas jesteśmy na lodowcu. Szkolny błąd. Próg przed dwójką pokonujemy dość sprawnie, a na poręczówkach powyżej Marka mija czerstwy mężczyzna, na oko 60-latek. Przepraszającym tonem Rosjanin z Nowosybirsk tłumaczy, że idzie szybciej, bo ma lżejszy plecak. Wygląda, że to nie jedyna przyczyna, po prostu jest świetny. W konwersacji nie przeszkadza mu tłący się w kąciku ust papieros... Dwójka sprawia na nas nieciekawe wrażenie – wąski pasek śniegolodu pod lekko przewieszoną skałą, która chroni przed lecącymi z góry skalnymi odłamkami różnego kalibru. Poza tym brudno i smrodliwie. Plusem są ładne widoki i ciepło słońca do późnego wieczora. Dwie godziny zajmuje nam kopanie, a właściwie budowanie platformy pod

namiot na chyba jedynym jeszcze wolnym miejscu nadającym się na jego postawienie. Rano zabieramy ze sobą namiot, platformę ogradzamy repikami i bambusowymi traserami, zostawiamy depozyt. Jutro mają tu przyjść nasi, a chętnych na równe miejsce jest sporo. Trawersy pod skalnymi żebrami, wspinaczka śnieżno-lodowymi depresjami. Tu już trzeba uczciwie pracować rakami i czekaniem. Rosyjscy przewodnicy nie zdążyli założyć jeszcze poręczówek, zakładamy swoje. Obiecują oddać nam mojego błękitnego Beala w dwójce – nie odzyskuje go jednak do końca wyprawy, mimo interwencji u szefa bazy. Zbyt ładny był i spodobał się. O, święta ludzka naiwności! Jakbym nie znalazł starego przysłowia: „Dobry zwyczaj...”. W pewnej chwili widzę, jak równolegle ze mną przesuwają się Apin z Jastrzębia. Prędkość ma dobrą, tylko kierunek nie ten... Wyjechały mu raki, zgubił po drodze dziabkę, ale na szczęście zatrzymał się na małym wypłaszczeniu i podszedł do naszej poręczówki. Później sytuacja się powtórzyła, ale na szczęście był już wpięty. Obsuwam się i ja, na szczęście tylko dwa metry. Z ust Irka będącego powyżej na stanowisku słyszę: „Wpędzicie mnie kiedyś do grobu”. W zapadających ciemnościach dochodzimy do obniżonej trójki na 6000 m. Ma-

rek, zmęczony, chce nocować niżej, na wąskiej śnieżnej grzędzie. Na szczęście daje się przekonać argumentowi, że kopanie platformy zajmie więcej czasu niż dojście do widocznego już namiotu. Zmęczeni wysiłkiem i emocjami trudnego dnia korzystamy z pustej pałatki Rosjan. Miejsce jest wietrzne, źle nam się śpi, więc rano przesuwamy pobudkę z godziny na godzinę. Na szczęście do właściwej trójki jest niedaleko, zaporcęzowany skalny uskoc i śnieżna grań. Miejsce prezentuje się okazale, wypłaszczenie zawieszane nad lodowcami, z jednej strony widoczna nareszcie droga na szczyt, po przeciwnej majestatyczny Somoni. Obok, w swojej „szmatce kierownika”, rozbijają się Irek z Apinem, którzy jako jedyni z Jastrzębia idą do góry. Jest także trójka rosyjskich przewodników. Do nas dochodzi jeszcze Irek, co skutkuje spaniem w trójkę w khumbu. Źle nie jest, ale noc do komfortowych nie należy. Właściwie po tym biwaku planowałem zejście do bazy, odpoczynek i ponowne wyjście do góry, już z zamiarem wejścia na szczyt. Tak kalkulowałem ilość zabranego jedzenia i tak nastawiałem się psychicznie. Argumenty Marka za jutrzejszym pójściem do góry przekonują mnie: jest pogoda, nie wiadomo, jaka będzie za kilka dni.



Baza po nocnym opadzie śniegu (fot. Robert Róg)



Pik Korzeniewskiej – tzw. obniżona dwójka w lodowcowym kociołku (fot. Robert Róg)

Poranne gotowanie i przygotowania do wyjścia dłużej się przez to niemiłosiernie, wychodzimy dopiero po porannej łączności po 8. Wrzucam do plecaka dodatkowe czekolady i skarpety na wypadek późnego powrotu, gdzieś pojawia się obawa przed przymusowym biwakiem. Łopatka na wypadek kopania jamy też ładuje w plecaku. Po zimnej nocy jest bezwietrznie i słonecznie, Irek rozpina puchowe spodnie, ta nonszalancja skutkować będzie bolesnym poparzeniem. Żle mi się idzie, nie mogę złapać swojego rytmu, za mną, pod wiszącym serakiem z lodowymi soplami jest tylko Apin. Szeroka początkowo śnieżna grzęda stopniowo zwęża się do śnieżnej grani. Po lewej kilkanaście metrów zmrożonego śniegu i skalna ściana, po prawej nieco łagodniej, ale poniżej szczeliny spod szczytowego lodowca. Jest gdzie lecieć, wydeptana ścieżka wcale nie zwiększa bezpieczeństwa. Po krótkim popasie połączonym ze zdjęciem upręży odzyskuję wigor i doganiam chłopaków pod spiętrzeniem, spod którego wycofali się, prowadzący dotychczas, Rosjanie. Irek samotnie walczy w głębokim śniegu, przekopanie się przez krótki odcinek zajmuje mu sporo czasu, a do szczytu jeszcze daleko... Nie wygląda to dobrze. Potem jeszcze skalny uskok z zetłalymi poręczówkami, który próbuję obejść z prawej strony, beznadziejnie zakopując się w głębokim śniegu. To tutaj, według Rosjan, miały przydać się upręże. Okazały się właściwie niepotrzebne, kilkanaście metrów nietrudnej skały można było przejść bez asekuracji. Zmieniam na prowadzeniu Irka co jakiś czas, ale moje zmiany są krótkie, myślałem, że jestem silniejszy... Irek bierze na siebie ciężar torowania na sam szczyt. Jestem pod wrażeniem jego siły. Ja mam za sobą

wyjazd aklimatyzacyjny w Alpy, on przyjechał tu niemalże z poziomu zero i odwala czarną robotę. Jak przystało na zwycięzcę Zamberlan Adventure Trophy.

Poniżej szczytu nagle robi się ciemniej i gwałtownie spada temperatura. Szczękając zębami z zimna wyjmuję z plecaka primalofta, dodatkowe rękawice i maskę. Okazuje się, że załapaliśmy się na zaćmienie słońca. Wchodzę na szczyt za Irkiem, przy okazji dając przed nim efektownego nura w niewielką, na szczęście, szczelinę. Wierzchołek to wydłużona śnieżna grań przypominająca Blanca. „Widoki ładne, niestety ograniczone” – cytat za WHP :), niskie chmury otulające Korzeniewską nie pozwalają delektować się panoramą. Nie widać Lenina od południa, a liczyłem na to. Marek robi zdjęcia, ale równie dobrze mógłby fotografować prześcieradło w domu. No tak, przyjechali chłopcy z Karkonoszy i przywieźli swoją pogodę. Krótkie gratulacje, ale, aby sukces był pełny, trzeba jeszcze zejść na dół. Mijamy podchodzącego Irka z Jastrzębia, został mu jeszcze kwadrans na szczyt. Schodzę ostrożnie, może przez to zbyt wolno, uczulając też Marka na niebezpieczeństwa zejścia. Tutaj wystarczy jeden nieostrożny ruch, zaczepienie rakiem o but i na hamowanie może już być za późno. Trochę marudzimy przy seraku, a ostatni odcinek do namiotu pokonujemy już przy czołówkach. Irek przyjmuje nas morzem picia, coś przekazujemy i w czasie rozmowy okazuje się, że nikt nie miał Apina podczas zejścia. Jestem przekonany, że zmęczony i pokonany przez wysokość zawrócił, już od trójki szedł bardzo wolno. Rzut oka do namiotu Jastrzębiaków potwierdza nasze obawy – nie ma go. Jeszcze nie zdajemy sobie sprawy z powagi sytuacji, oświetlamy namiot czołówkami, gotujemy herbatę do termosów i nie wiadomo kiedy zasypiamy. Ranek przynosi kolejne rozczarowanie – nie ma ani Apina, ani Irka. W zasięgu wzroku nie widać żadnej kolorowej plamki, żadnego śladu człowieka. Czarne myśli i niepokój przeplatają się z nadzieją na zobaczenie ich żywych. Jesteśmy zbyt zmęczeni wysiłkiem poprzedniego dnia, aby podjąć próbę kolejnego wyjścia w górę, możemy tylko schodzić w dół. W pewnej chwili zauważamy żółty punkt na śniegu – takiego koloru kombiniezony puchowe noszą Jastrzębiacy. To Irek, biwakował w jamie nad obozem, nie miał już siły schodzić. Widać po nim trudy wejścia i samotnego biwaku. Pije, je i zasypia w namiocie. I on nie spotkał podczas zejścia Apina. Nie mam złudzeń, gdyby Apin wrócił się i próbował nawet biwakować, musielibyśmy się na niego natknąć. Droga zejścia pokrywa się z podejściem, cztery osoby nie mogły przeoczyć ubranego w jaskrawe kolory człowieka.

Nie widzieliśmy również żadnych śladów upadku, hamowania czekaniem, śladów krwi, czy innych oznak wskazujących na walkę o życie. Najprawdopodobniej potknął się, źle postawił nogę, wyjechał mu rak, z którym wcześniej miał problemy. Pewnie zmęczenie, niedostateczna aklimatyzacja i związana z tym zmniejszona szybkość reakcji spowodowały upadek.

Gierasimow, szef bazy, wskazał trzy przyczyny wypadku: niedostateczna aklimatyzacja, rozdzielenie partnerów i zlekceważenie góry. Zgadza się, ruszyli z bazy praktycznie non stop do góry, nie mając wcześniejszej aklimatyzacji, stąd wolne tempo, zwłaszcza Apina. Drugi punkt – między sobą ustalili w zespole, że każdy chodzi swoim tempem. Czy jest to wtedy zespół, czy tylko dwójka solistów związana wspólnym namiotem, to kwestia do dyskusji. Późniejsze pretensje kierowane do Irka za zostawienie partnera są bezprzedmiotowe, sam byłem świadkiem rozmowy między nimi, gdy Apin wyraźnie nalegał na Irka, by ten szedł do przodu i nie czekał na niego. Może i nie docenili góry, po wyprawie na Cho Oyu niski siedmiotysięcznik okazał się zbyt wymagający.

Gierasimow, zdobywca prawie wszystkich siedmiotysięczników i kilku ośmiotysięczników, uśmiechnął się tylko z zadumą na pytanie, czy swoje wejścia zrobił zgodnie z zasadami sztuki. Wiemy, że tak się w górach nie da, zmniejszamy coraz bardziej margines bezpieczeństwa, ryzykujemy, sądząc, że śmierć nas nie dotyczy, liczymy na kolejny łut szczęścia. Teraz go zabrakło...

Z dołu podchodzą kolejne zespoły, część udaje się od razu do góry. Nic tu po nas, schodzimy do bazy. Minęło zaledwie kilka dni, śnieg, który był jeszcze na podejściu został zastąpiony przez lód. Słońce wytopiło i tak kiepsko wkręczone śruby. Marek na progu lodowym poniżej dwójki musiał na nowo budować stanowisko. W duchu dziękuję mu, że namówił mnie na wyjście szczytowe, nie chciałbym jeszcze raz przechodzić niektórych odcinków. Pani Korzeniewska okazała się nadspodziewanie trudną górą. Wysokością porównywalna z Leninem, ale trudności techniczne są znacznie większe.

Żegnamy kolegów z Jastrzębia, którzy zdecydowali się wcześniej zakończyć wyprawę. Marek odlatuje z nimi, ja po linii błękitnego krzyża dołączam do zespołu z Grupy Beskidzkiej.

Ale przede wszystkim wypatrujemy, czy znalazł się odważny i naiwny do przetarcia drogi na zbocze Borodkina (pierwsza część drogi na Somoni). Pomni własnych i zeszłorocznych Oli doświadczeń na Korzeniewskiej, nie palimy się do torowania. Przychodzą Rosjanie, Ukraińcy, Szwajcarzy, my

chodzimy do nich, ale chętnych na założenie śladów nie ma. Powód jest prosty – łatwo pozbyć się sił kopiąc się w śniegu i zakładając poręczówki. Sił, których później może zabraknąć na szczyt. Pierwsi „pękają” Rosjanie, którym zbliża się termin odlotu z bazy. Dwa dni później wyrusza Ola z Marcinem, dzień później reszta.

Plecak zapakowany na dziewięć dni akcji ledwo daje się podnieść. Wyrzucam dwie dzienne racje – najwyżej będę głodował w zejściu, zostawiam również parę drobiazgów. Do jedyńskiej drogi biegnie częściowo skalnym terenem, a częściowo śniegiem po lodowej rampie. Na nią właśnie spadają lawiny z obrywających się seraków ze ściany, którą podcięte jest Pamirskie Plateau. Obserwacje poczynione wcześniej z bazy na niewiele się zdają. Lawiny wcale nie schodzą w południe, jakby sugerował tytuł książki, nie nad ranem, nie w nocy. Schodzą całą dobę z godną podziwu aperiodycznością. Podmucha i śnieżny pył jednej z nich dosięgają nas już na lodowcu Waltera. Obsypani śniegiem miny mamy nietęgą, zastanawiamy się, co dalej. Rozmowa przez radiotelefon z Marcinem, który jest powyżej jedyński, nieco nas uspokaja – większe seraki wpadają do szczeliny przed rampą, część, już rozbita na mniejsze kawałki, spada poniżej.

Idziemy dalej gotowi w każdej chwili zrzucić plecaki i chronić się za nimi jak za tarczą. Już bez większych przygód docieramy do jedyński. Długie podejście, 900 m przewyższenia i ciężki wór sprawiają, że jestem wykończony. Muszę naprawdę kiepsko wyglądać, skoro Maciek proponuje wzięcie namiotu ode mnie. Kładę to na karb przypadłości jelitowych i ambitnie idę dalej. Okazuje się, że słusznie, bo rano jestem jak skowronek i prowadzę przez cały dzień. Tego dnia popełniamy błąd, który srogo zemści się na nas. Nad lodowym progiem, w zacisznej szczelinie kusi nas rozstawiony pusty namiot. Co prawda mocno pada, ale nie jest późno i można by iść za chłopakami dalej, lenistwo jednak zwycięża i zostajemy. Przez całą noc pada, ranek wita nas mgłami i ponownym opadem. Cóż – torujemy w świeżym śniegu do dwójki. Wczoraj szlibyśmy po wydeptanym śladzie, dzisiaj ciężka praca. Po drodze zostawiam pod serakiem mały namiot, którego i tak nie używam, mam nadzieję, że traser i to, co przy nim, nie zniknie do naszego powrotu. Uznajemy, że damy sobie radę w trzy osoby w jednym namiocie.

Klasyczne trasery, czyli jaskrawe kawałki materiału na bambusowych patykach, ponownie zdały egzamin. A ja po raz kolejny mam mieszane odczucia dotyczące GPS – a. Łatwiej przy jego pomocy wrócić w śnieżycy czy mgłę do namiotu, ale nawigowanie w takich warunkach wcale nie



Odrobina luksusu – lodowata kąpiel po saunie

jest łatwe. Nie mówiąc już ile to cudo potrzebuje prądu w ujemnych temperaturach. Zostało przecież stworzone z myślą o pustyni.

Namiot rozbijamy powyżej właściwej dwójki, wyrównujemy tylko platformę po poprzednikach. Kolejny dzień to mozolne torowanie, pod wierzchołkiem Borodkina robimy tylko jeden krok w małą depresję, aby ominąć mały seraczek i słyszę trzask nad głową. Dzielnie przyjmuję na klatę sporo śniegu, poniżej robi się całkiem niezłe lawinisko. Na Borodkinie nareszcie słońce, podziwiamy Plateau i dalszą drogę. Sporo jeszcze tego. Schodzimy długim trawersem, aby ominąć szczelinę brzezną 200 m w dół, na lodowiec. Namiot rozbijamy w padającym śniegu. Poranek to bezkresna biel, Wielkie Pamińskie Plateau istotnie zasługują na przymiotnik „wielkie”, ślady zasypane, bo w nocy oczywiście padało. W normalnych warunkach dalibyśmy radę wejść w jeden dzień na Pik Duszanbe, teraz rozbijamy namiot już w ciemnościach, w połowie drogi. Po drodze tradycyjnie wpadam jedną nogą w szczelinę, czekam podany przez Dawida pomaga wydostać się z kłopotu. Tym razem Dawid spuszcza na stromym odcinku sporych rozmiarów deskę, na szczęście śnieżny pociąg przejeżdża obok nas. Jesteśmy tak zmęczeni torowaniem, że tylko coś pijemy i zasypiamy bez kolacji. Reszta ekipy ciągle dzień przed nami. Poranne wyjście trwa długo – nadrabiamy żywieniowe zaległości, pijemy dużo. W efekcie na kolejny biwak, już pod kopułą szczytową, docieramy w zapadających ciemnościach. Nie mogę odsunąć od siebie uporczywie powracających wizji domowego śniadania – bułeczki z białego pieczywa z dużymi plasterkami pomidora. Męczę się z tym dość długo, natrętne obrazy powracają. Chwila nieuwagi podczas przerwy na herbatę i nowiutka kurtka Szymka z primaloftu leci w dół. Jeszcze długie kopanie dołu pod namiot. Z ciepłych namiotów tylko Maciek wychodzi nam pomóc, jestem mu wdzięczny. Nasz

domek rozstawiamy przy silnym wietrze, pakujemy się do wnętrza z butami. Miejsce na obóz wybrane niefortunnie, jesteśmy na niewielkiej przełęczy, gdzie wiatr dmucha z ogromnym impetem, co prawda pod samą skalną kopułą szczytową, ale dodatkowym minusem jest to, że słońce dociera tu dopiero ok. 9. Okazuje się, że dzisiejsza próba wejścia nie powiodła się, Ola z Marcinem wrócili. Na szczęście następny dzień wita nas słońcem, odpoczywamy, chociaż zdajemy sobie sprawę, że pobyt na równych 7000 m trudno nazwać odpoczynkiem. Ale przynajmniej się nie męczymy. I nawet sporo jemy, co świadczy o dobrej aklimatyzacji. Nie wiadomo, czy tak do końca się z tego cieszyć, bo w spiżarni coraz więcej wolnego miejsca :).

Ola z Marcinem dwukrotnie rano próbowali ataku szczytowego, dwukrotnie wracali. Za zimno, nie chcieli ryzykować odmrożeń. Wrócili też Rosjanie i Ukraińcy.

Następnego poranka wykazujemy olimpijski spokój, dobrze się wysypiamy i wychodzimy jako ostatni zespół sporo po 10, gdy słońce ogrzało namiot i oświetliło zachodnią ścianę. Niezgodnie z zasadami górskiej sztuki? Może, ale zgodnie ze zdrowym rozsądkiem i wnioskami z poprzednich nieudanych ataków. Pogoda ustabilizowana, idziemy zachodnią flanką, gdzie słońce będziemy mieć do samego wieczora. Początek stromym śnieżno-lodowym stokiem, potem teren nieco się kładzie, i wyprowadza na skalisto-śnieżną grań szczytową.



Wyprawowy rodzynek, czyli Ola (fot. Robert Róg)

Szymek wyrwał do przodu i pierwszy melduje się na grani. Zapłaci za to później – zmęczony szybkim wejściem zejdzie ostatni. W górach, jak w życiu – nie ma nic za darmo. Tutaj robimy popas i depozyt plecakowy, na lekko 20 minut na szczyt. Trudno, trzeba uważnie wbijać raki i czekać. Somoni nagrodził nasz wysiłek piękną panoramą, której poskapiła Korżeniewska. Przedstawia się teraz imponująco, dwa potężne żebrza obejmujące lodowcową kotlinkę. Wokół góry i góry, większość czeka na pierwsze wejścia. Nie tyle trudność i wysokość, co problem z dotarciem do nich sprawia, że zachowały na swoich szczytach nietkniętą ludzką stopą śnieg. Jest ciepło, prawie nie ma wiatru, podziwiam z góry ogromne lodowe cielsko jednego z największych lodowców – Fedczenki. Stąd widać już wyraźnie krzywiznę Ziemi, szczyty na horyzoncie wydają się nieco przekrzywione. Albo to wysokościowe omamy :-). Zdjęcia, chwila zadumy, trochę radości i skupienie przed wymagającym zejściem grańką. Schodzimy szybko, momentami stosując dupozjazdy. Kolejny raz żałuję, że nie mam nart. Tylko kto by je tutaj wniósł? Przed namiotem żartuję, że to były łatwe szczyty, skoro wszyscy uczestnicy wyprawy na nie weszli. Patrząc na wychudzone twarze i cienie pod oczami sam wiem, że było inaczej. Mieliśmy dużo czasu na aklimatyzację, walkę z biegunkami i przeczekanie niesprzyjającej pogody. Zostawiliśmy naszych bliskich na półtora miesiąca i nadszarpnęliśmy domowe finanse. Czy było warto? Jak zwykle pytanie bez odpowiedzi.

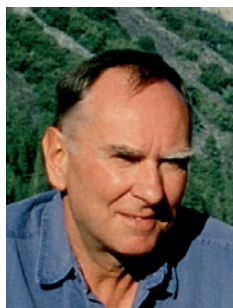


Pik Korżeniewskiej – w drodze na szczyt, poniżej obóz trzeci (fot. Robert Róg)

Zejscie do bazy właściwie z jednym nieprzyjemnym momentem. Rosjanie zdjęli nad jędynką liny poręczowe, akurat tam, gdzie były bardzo potrzebne. Stromy stok, urywający się skalną ścianą, lód pod ziarnistym śniegiem i świadomość, że czekanie nie wystarczy do wyhamowania. Wypisz-wymaluj, sytuacja jak na Korżeniewskiej. Schodzę przesadnie uważnie, w pewnym momencie nawet przodem do stoku na przednich zębach raków. Byłem już w tym roku na pogrzebie, gdzie żegnaliśmy ofiarę wypadku, który wydarzył się w czasie zejścia, przed trzema tygodniami zdarzył się podobny. Lepiej byłoby nie dodawać niczego do tej statystyki. Już w bazie, wymieniając się wrażeniami, Marcin i Irek zgodnie uznali, że był to jeden z trudniejszych momentów na wyprawie.

Pogoda w kratkę, to już końcówka sierpnia, widać wyraźnie, że górskie lato ma się ku końcowi. Znaleziona na Plateau konserwa z tadżycką rogacizną okazała się hitem kolacji. Bo poza kisielami i batonikami to już niewiele nam zostało do jedzenia. Za to na bazie pełna spiżarnia z międzynarodowym menu – Czesi i Irańczycy zostawili nam swoje zapasy. Korzystamy z nich, korzystamy... jak i z sauny, to rzeczywiście cudowny wynalazek.

Powrót tą samą drogą: śmigło do Dżirgi, blaszanki do Duszanbe, samolot do Stambułu, gdzie mamy przesiadkę i przy okazji zwiedzamy miasto. Na lotnisku miła niespodzianka – wracamy małym samolotem LOT-u z dobrym jedzeniem na pokładzie. W domu oczywiście bułka z pomidorem na śniadanie :-)



Nanda Devi East – debiut polskiego himalaizmu

Janusz Kurczab

Fascynacja najwyższymi górami świata, wywołana brytyjskimi bojami o Everest, nie ominęła Polski.

Prekursorem polskiej wyprawy w Himalaje był warszawski alpinista Adam Karpiński. Będąc pod świeżym wrażeniem epopei Mallory'ego i Irvine'a, już w 1924 roku wystąpił z projektem zaatakowania Everestu. Wkrótce okazało się, że Polacy nie mają szans na pozwolenie od władz tybetańskich. Plany musiały być zmienione. Głównym celem stał się teraz drugi szczyt świata – K2 (8611 m). Rozpoczęto starania w brytyjskim Foreign Office, jednak organizatorów spotykały kolejne niepowodzenia – dwukrotnie zostali wyprzedzeni przez Amerykanów. Wreszcie,



Masyw Nanda Devi od północy. Po prawej szczyt główny, z lewej Nanda Devi East

w lutym 1939 r. udało się uzyskać pozwolenie na wyprawę w Himalaje Garhwalu.

Dwuwierzchołkowy masyw Nanda Devi jest najwyższym wzniesieniem Himalajów Garhwalu, a obecnie – najwyższym szczytem leżącym całkowicie w granicach Indii. Obydwa wierzchołki są właściwie samodzielnymi szczytami, połączonymi trzykilometrowej długości wyniosłą granią. Główny szczyt (7816 m) wznosi się we wnętrzu trudno dostępnego ogromnego kotła górskiego, zwanego „Sanktuarium Nanda Devi”, zamkniętego ze wszystkich stron ścianami o wysokości paru tysięcy metrów. Zdobycie go w 1936 roku przez wyprawę brytyjsko-amerykańską pod kierunkiem T. Grahama Browna przyniosło rekord wysokości, poprawiony dopiero po 14 latach przez Francuzów na Annapurnie.

Wybór Polaków padł na dziewiczą Nanda Devi East (7434 m). Na kierownika wyprawy został powołany jej największy entuzjasta – Adam Karpiński, a w skład weszli ponadto doświadczeni alpinści i podróżnicy – Stefan Bernadzikiewicz i Jakub Bujak. Czwartym uczestnikiem został Janusz Klarner, młody i sprawny sportowiec, ale raczej narciarz i żeglarz niż taternik. Ta kandydatura wywołała początkowo sprzeciw, gdyż Klarner uważany był za taternickiego nowicjusza. O jego udziale zdecydowały głównie względy finansowe. Klarner pochodził z zamożnej rodziny i wniósł



Na grani Drugiej Turni

spora kwotę, umożliwiając w ten sposób w ogóle dojście wyprawy do skutku.

W Indiach do szczupłego składu dołączyło sześciu Szerpów z Dardżylingu oraz oficer łącznikowy mjr J. R. Foy, który łączył swoje normalne obowiązki ze sprawowaniem funkcji lekarza. 25 maja założona została baza (4050 m) w dolinie Lawan, u podnóża wysokiej na 3000 m, wschodniej ściany Nanda Devi East.

Już następnego dnia rozpoczęto akcję zakładania obozów oraz transportu ekwipunku i żywności. Na wysokości 4900 m stanął obóz I. Podczas gdy tragarze nosili do niego ładunki, Karpiński i Klarner weszli 28 maja na przełęcz Nanda Devi Khal (5910 m), gdzie znaleźli dobre miejsce na obóz II.

Tymczasem nastąpiło osłabienie wyprawy. Ciężko zachorował Bujak, Bernadzikiewicz i Klarner cierpieli na silne bóle głowy, a Karpiński miał dolegliwości żołądkowe. Unieruchomiony był też jeden z Szerpów. Pomimo tego, już 31 maja akcja została wznowiona. Alpinści pokonali i zaporcęzowali trzy trudne turnie skalne, wznoszące się nad przełęczą. Następnie sforsowali stromy uskoki lodowy, by po przebyciu Śnieżnej Kopy i łatwiejszej, lecz długiej partii grani, założyć obóz III (6250 m). Karpiński z Szerpą Dawą Tseringiem zrobili jesz-

cze wypadek rekonesansowy do wysokości 6350 m. Trafili na olbrzymie nawisy śnieżne, grożące oberwaniem. Pogoda zaczęła się psuć, wreszcie nadszedł typowy monsunowy opad śniegu, trwający nieprzerwanie przez ponad dwie doby.

Po ponad tygodniu stan zdrowia Bujaka poprawił się na tyle, że mógł wziąć udział w akcji górskiej. To znacznie poprawiło szanse wyprawy. Polacy mogli odtąd działać dwoma samodzielnymi zespołami i szybciej założyć górne obozy. Pogoda poprawiła się i 12 czerwca można było wyruszyć w górę.

Warunki na grani okazały się jednak bardzo niekorzystne. Masy świeżego śniegu wymagały wyczerpującego torowania szlaku, na ostrzu grani wisały wielkie groźne nawisy, obniżanie się na zbocze wiązało się natomiast z ryzykiem wywołania lawiny. Szczególnie niebezpieczna była droga powyżej Śnieżnej Kopy. Śnieg zakrywał szczelinę biegnącą tuż pod granią po stronie Sanktuarium. Wybór rodzaju ryzyka był trudny: albo wpadnięcie w szczelinę, albo lot z oberwanym nawisem... Taką właśnie przygodę w dniu 14 czerwca przeżył Janusz Klarner. Na szczęście w momencie oberwania się nawisu, idący za nim Szerpa Dawa przytomnie



Masyw Nanda Devi. Po prawej Nanda Devi East – na wprost grani pokonana przez polską wyprawę. Fot. P. Carson

uskoczył w dół, na drugą stronę grani, zapewniając sobie w ten sposób wytrzymałość szarpnięcia.

Mimo ciężkich warunków akcja posuwała się naprzód, a nawet uległa przyspieszeniu. 17 czerwca na wysokości 6250 m stanęły namioty obozu III. Już w dwa dni później czterej Polacy założyli na polu śnieżnym, u stóp tzw. Wielkiego Uskoku, obóz IV (6400 m). 20 czerwca Bernadzikiewicz i Bujak pokonali i ubezpieczyli dwie trzecie uskoku, w tym pionowy próg skalny. Osiągnięta wysokość 6700 m napawała optymizmem i dawała nadzieję na bliski już moment ostatecznego szturmu.

Następnego dnia Bernadzikiewicz i Klarner z Szerpami Dawą Tseringiem i Indżungiem wyruszyli z obozu IV z zamiarem ataku szczytowego. W świeżym śniegu, przy sporych trudnościach technicznych pokonali resztę Wielkiego Uskoku, po czym ostrą granią z nawisami dotarli do wysokości 6950 m. W czasie przygotowań do rozbicia namiotów obozu V pod Indżungiem urwał się olbrzymi nawis śnieżny. Szarpnięcie poszło na związanego z nim Dawę Tseringa. Klarner rzucił się ku Tseringowi i gwałtownymi szarpnięciami pomógł mu utrzymać równowagę. Zszokowany Indżung nie potrafił pomóc towarzyszom, toteż wyciąganie go na grani trwało blisko pół godziny. Załamany psychicznie Indżung nie był zdolny do samodzielnego zejścia, wspinacze musieli odłożyć szturm i zająć się sprowadzeniem Szerpy na przełęcz.

Atak próbowali teraz podjąć Bujak i Karpiński. 23 czerwca śnieżnica przeszkodziła im nawet w dotarciu do miejsca planowanego obozu V. Karpiński, który od dawna już odczuwał dolegliwości przewodu pokarmowego, zrezygnował ostatecznie z wierzchołka i zszedł do bazy. Pozostała trójka rozpoczęła od nowa upartą walkę z niepogodą i ciężkim śnie-



Południowa grani Nanda Devi East

giem na grani. 30 czerwca wraz z Szerpami Dawą Tseringiem, Boktejem i Nyimą założyli oni obóz V. Stał on zaledwie 50 m wyżej od miejsca wypadku Indżunga, na skalnej platformie na grani (7000 m). W obozie razem z alpinistami został Dawa Tsering, zaś pozostała dwójka Szerpów zeszła na dół.

1 lipca szalała nad Nanda Devi huraganowa wichura przy temperaturze -14° . Zmusiła ona wszystkich do przeczekaania w szarpanych wiatrem namiotach. 2 lipca o 5 rano znów wiał silny wiatr, ale niebo było bezchmurne. Było jeszcze zimniej niż poprzedniego dnia, wkrótce jednak słońce załaziło grani i temperatura szybko się podniosła. To pomogło w podjęciu decyzji i cała czwórka wyruszyła do ataku szczytowego. Prowadzili Bujak z Dawą Tseringiem, rąbiąc stopnie w zlodowaciałym śniegu. W pewnym momencie Bujak stracił czucie w stopach, musiał zdjąć buty i długo nacierać palce, aż do przywrócenia normalnego krąże-



Widok z platformy podszczytowej

nia krwi. Odzyskał ochotę do wspinaczki, jednak Bernadzikiewicz był w bardzo złej formie. O godzinie 11, u stóp Środkowego Uskoku (7200 m) był już tak wyczerpany, że postanowił zawrócić. Wraz z nim zszedł Dawa Tsering.

Bujak i Klarner pokonali Środkowy Uskok w trudnej wspinaczce po niekorzystnie uwarstwionych zaśnieżonych płytach skalnych. Dalsza część grani wymagała pracowitego rąbania i wybijania stopni w firnie o zmiennej konsystencji. Zaczął się wyścig z uciekającym szybko czasem. Późnym już popołudniem wspinacze stanęli pod skałami uskoku szczytowego. Z dołu wyglądał on bardzo groźnie, teraz jednak okazał się dosyć łatwy, ze względu na dobre uwarstwienie skał. Prowadzący Klarner po dwóch długościach liny niespodziewanie wynurzył się ze stromizna uskoku na olbrzymią śnieżną płaszczyznę. To był szczyt Nanda Devi East!

Tak został osiągnięty cel wyprawy i na długie lata największy sukces polskiego alpinizmu oraz polski rekord wysokości. Niestety, radość ze zwycięstwa szybko uległa przyćmieniu. W czasie próby zdobycia szczytu Tirsuli (7074 m), w nocy z 18 na 19 lipca, pod zwałami lawiny, która zasypała obóz III (6150 m), zginęli Bernadzikiewicz i Karpiński. Ciała ich nie zostały odnalezione.

Taki był – triumfalny i tragiczny zarazem – początek polskiego himalaizmu, o którego sukcesach



Na kopule szczytowej Nanda Devi East

głośno potem było w świecie. Drogo okupione zdobycie Nanda Devi Wschodniej – wówczas szóstego co do wysokości ze zdobytych szczytów – miało być początkiem serii wielkich wypraw. Tymczasem wojna zaprzepaściła na długo wszelkie szanse nowych zdobywczy, a powojenne pokolenia polskich alpinistów musiały od nowa zdobywać doświadczenia na drodze ku wysokim szczytom.

Czarno-białe zdjęcia pochodzą z archiwum Jana Kazimierza Dorawskiego – „W skałach i lodach świata”, tom II.



Wyprawa w bazie. Od lewej: Janusz Klarner, Adam Karpiński, mjr dr J. R. Foy, Jakub Bujak, brytyjski turysta S. B. Blake, Stefan Bernadzikiewicz

Nowe drogi w Tatrach

Kościelec – zachodnia ściana.

ORA ET LABORA (A3, 4 wyciągi), Jacek Czech („W SKALE”, KW Katowice, KS „Kandahar” Katowice), Piotr Poloczek „Koala” (KW Katowice), wrzesień oraz 3 listopada 2008 roku.

Linia drogi wiję się piękną stróżką pomiędzy „Gorzkiemi godami” a „Proszę się wspinać” na zachodnim urwisku Kościelca. Granit w tej części ściany jest wyjątkowo piękny i lity. Przebieg całej drogi jest wkomponowany w naturalne ukształtowanie skały, raczej omijając trudności, niż ich szukając. Plan wytyczenia nowej drogi w tej części ściany zrodził się przed kilkoma laty, podczas przejść sąsiednich dróg. Jednak respekt przed jej trudnościami oraz brak partnera skutecznie mnie hamowały.

Już na pierwszym wyciągu podczas pierwszej próby z Łukaszem Kardą w 2004 roku zrozumiałem, że żarty się skończyły, a do próby przejścia cały zespół musi dorosnąć. Plan zdobycia góry zaczął powoli kielkować, rozwijając się i dojrzewać w mojej głowie. Wielokrotnie przechodząc pod ścianą zatrzymywałem się, obserwowałem, przewidywałem, wyobrażałem sobie co czeka mnie na niewidocznym, tajemniczym, nikomu nieznanym fragmencie granitu. Marzyłem....



Jacek Czech na 3 stanowisku

Nadszedł czas żniw – decyzję podjąłem po kolejnej dyskusji w „Betlejemce”, kiedy „Mikser” oświadczył, że czas ospitować całe Tatry. Dla przekonania się, czy będę w stanie działać na upatrzonym terenie wybrałem się z „Rybą” na „Prawego Wolfa”. Sprawdzian wypadł pomyślnie, otwarcie nowej drogi stało się celem....

Kilka telefonów do potencjalnych partnerów uświadomiło mi, że taternik to gatunek na wymarciu. Ostatecznie rozmowy z „Koalą” upewniły mnie, że duch w narodzie śląskim nie zginął i nawet mamy szanse.

Niedzielnego wrześniego poranek – zamiast na Mszę świętą, idziemy pod ścianę. Objuczeni linami, żelazem i mechanikami, docieramy do jej podnóża. Rozgrzanymi po podejściu dłońmi dotykam wyziębionego, nieczulego granitu – zaczynamy „bitwę”.

Przeciążony szpejem podchodzę pod kominiek wejściowy; odwieszam większość żelastwa na rep i napieram odciągowo – rozpierczkowym stylem, dochodzę pod okapik, gdzie osadzam dla uspokojenia „Terminatora”. O, Panie, czeka nas ciężka praca – prowadź nas.

Trawers w lewo i diagonalna rysa w prawo pod wielkim trójkątnym przewieszeniem, przechaczona na kosteczkach i już po trzech godzinach jestem na I stanowisku. Teraz napiera „Koala”, idzie rewelacyjnie – odważnie i szybko. Sprawnie porusza się na małpie, umiejętnie transportuje szpej, bez oporów robi konieczne wahadła, w celu szybkiego czyszczenia wyciągu – JESTEŚMY ZESPOŁEM.

II wyciąg zaczynam od lawy i spita, na którego osadzenie wystarcza niespełna 1000 uderzeń młotkiem w spitownicę, jeszcze kilka miękkich ruchów w haczykach i po przewinięciu w prawo psychiczne wejście w klasykę na połąką płytę. Oj, teraz będzie trudno. Wykręcam dziwacznie ciało, aby nie polecieć, pode mną wbita na ¼ łyżka mobilizuje mnie, aby założyć coś lepszego. Mikroryski pozwalają na dwa listki i dwa skyhooki, a i tak czas, w którym biję kolejnego spita jakoś się ciągnie... Teraz wspinałem się klasycznie na granicy odpadnięcia, brzuchaty fragment ściany nie pozwala na zaplanowanie następnych ruchów, spit coraz niżej, a siły wyfrunęły. Błagalnie wyszukuję krawędki, na której „wypoczne”. Jest – dobry skyhook to jest to...

Okolo 16. „Koala” dociera do drugiego stanu i mimo wczesnej pory liczymy, że okapy i cała góra będą „łajtowe”. Decydujemy się na zjazd, aby wypocząć w „Betlejem” – bo jutro drogę zasiekamy.

Rano w strugach deszczu ściągamy ze ściany szpej i gnamy do domu!

Niedzielnego wrześniego poranek – zamiast na Mszę, idziemy... Dół obchodzimy poprzez wielki blok od jego prawej strony „dosyć trudnym” zacięciem. Wariant dojściowy wymaga również niezłej wojaczki – są i hak, i lawa, i trzęsiona, i klasyka, i... Umawiamy się, że okapy prowadzi „Koala”, bo miało być łatwo. Asekurując partnera, przeźornie przyodziewam się w kolejne warstwy ubrań, aby wisząc kilka godzin w stanie nie wybić sobie zębów, bo po słonecznym poranku nastął chłodny tatrzański dzień. Łatwo nie jest, „Koala” walczy, ja odprowadzam modły – normalna szychta.

Jest niedzielnego wrześniego wieczór, rodzinka po prawdziwym niedzielnym śląskim obiedzie grzeje się w chałupie, a tata ma zdrętwiałe nogi i obsikany plecak, ma... Umęczony „Koala” wbija drugiego spita w okapie i prawie w mroku opuszczam go do siebie. Już wiemy to obaj – dalej jest baaardzo trudno.

Pierwsze wirujące płatki śniegu dostrzegam jeszcze przed Karbem, jednak determinacja nie pozwala mi się poddać. Przecież kilka płatków śniegu zimy nie czyni...

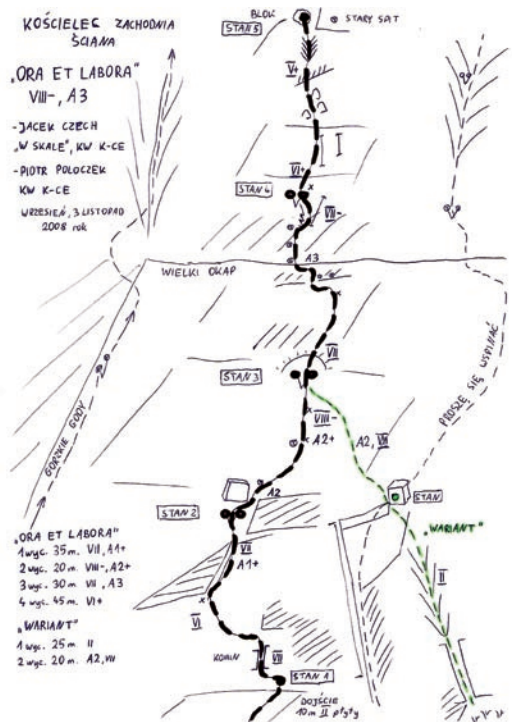
Stoję wyciągnięty jak struna w lawie, koniuszkami palców dosięgam ryski, szukam rozkosznego przewężenia dobrego do osadzenia frienda. Jest, delikatnie wsuwam w nią małego metyla, zaczepiam fikę, zamykam oczy, modłę się, odciążam lawę i delikatnie dyndam; jeszcze kilka takich cykli i 1000 uderzeń młotkiem w spitownicę, i wracam do rzeczywistości.

Jest środek zimy, sypie tak, że nie widać trawnika pod ścianą.

Niedziela 2 listopada, noc – byliśmy na Mszy, godzina 23. – idziemy na halę. Śniegi nadal zalegają północne zbocza masywu Świnicy, jednak nasza ściana jest sucha. Kolejne dwa spity wyprowadzają mnie znad krawędzi okapu i przewieszenia, teraz uciekam lekko w prawo do rysek, nimi kilka podhaczeń i dalej już klasycznie w lewo. Słońce delikatnie ogrzewa mi plecy odziane w targany



Droga „Ora et Labora”



Schemat drogi „Ora et Labora”

Cień Wielkiej Buli



Cień Wielkiej Buli – 3 wyciągi prowadzi Marek Grądzki (fot. Rafał Nawrot)

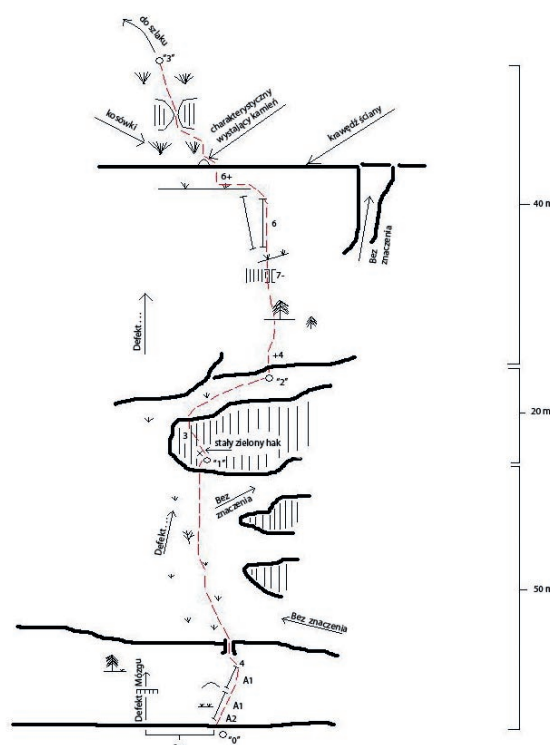
przez wiatr ortalion, wiszę komfortowo na skyho-oku i stukam sobie kilka tysięcy razy młotkiem, aby pozostawić trwały ślad ingerencji człowieka w tej części ściany. Jest stan.

IV wyciąg to już wymarzony „lajcik”; 20 minut po płytach, przez okapik i zacięciem do bloku, na lewo od starego spita. Jest 3 listopada, poniedziałek, godzina 15.50. Słońce schowało się już za turniami. ORA ET LABORA – niech tak pozostanie. ZROBILIŚMY.

- Zapraszam do powtórzeń, jednak uprzedzam:
- drogi nie wyznacza linia spitów,
 - zła interpretacja schematu drogi może doprowadzić do zapychu (lotu, dupnięcia),
 - droga (tak jak całe taternictwo) z natury jest niebezpieczna, więc zastanów się wspina-czu, czy warto,
 - wybranie się na drogę tylko z ekspresami jest błędem.

Proszę o niedobijanie na drodze spitów. Pozwólmy Tatrom jeszcze przez chwilę pozostać górami.

Jacek Czech

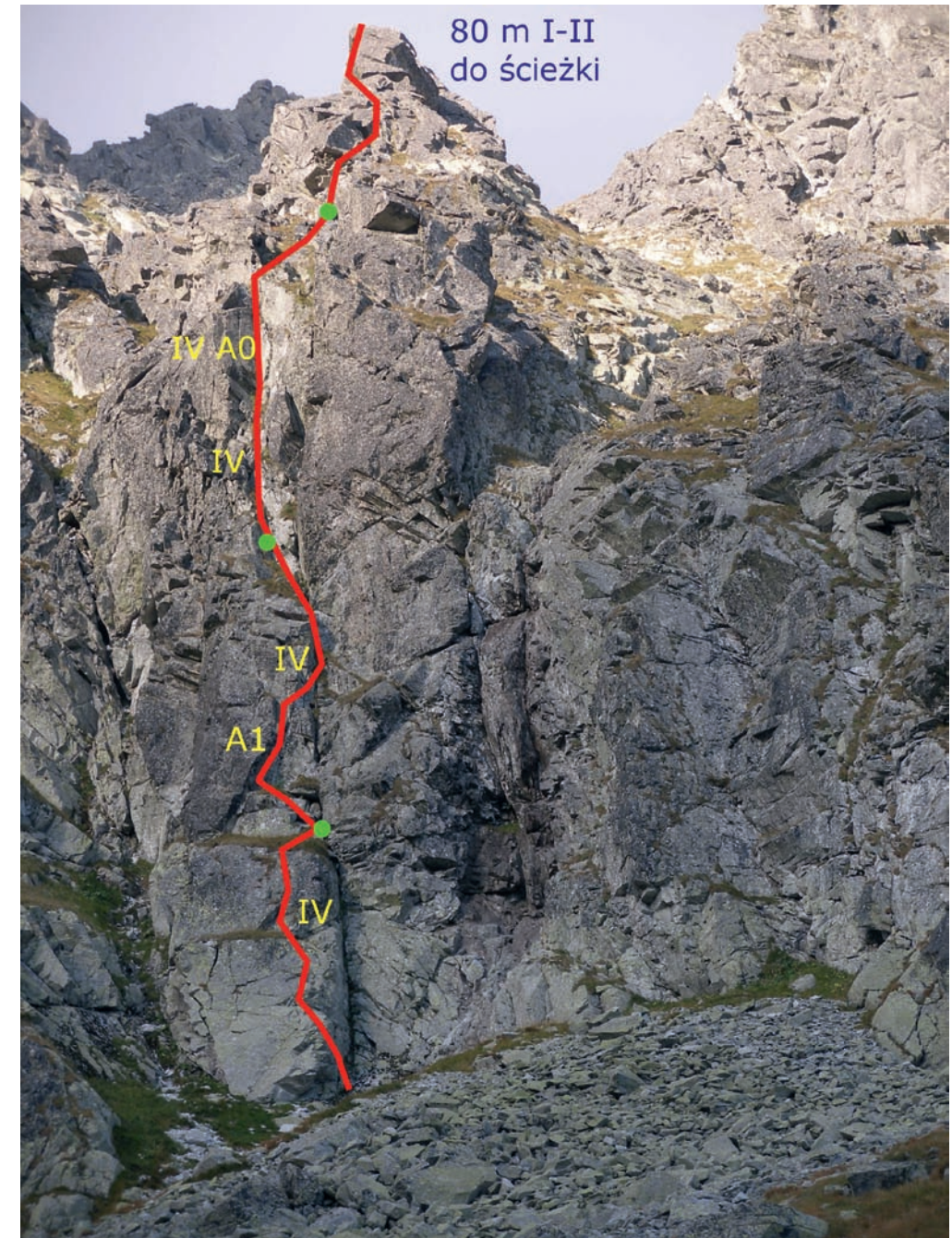


„Cień Wielkiej Buli” 7-, A2
 Rafał Nawrot UKA, Marek Grądzki KWW, 4.12.2008 r. OS

Szatania Turniczka – lewe zebro zachodniego filara.

Pożegnanie Jesieni (IV A1; 2,5 h), próba (1,5 wyciągu) – Andrzej i Marek Pronobis, 30.12.2007, całość – Marek Pronobis, 10.11.2008.

Droga kończy się na ścieżce WHP 629.
 Marek Pronobis



Zagadki Kotła pod Polskim Grzebieniem (część II)

Andrzej Z. Górski, Piotr G. Mielus, Henryk F. Rączka

BADANIA TERENOWE

W rzeczonym rejonie dokonaliśmy kilku wizji lokalnych oraz pomiarów hipsometrycznych z pomocą amatorskich urządzeń GPS – *Garmin eTrex Summit* oraz *Vista* (z funkcją WAAS, której efekty działania nie są jednak dla nas jasne). Dla porównania użyliśmy również niezależnego aneroidu. Wcześniej, podobne pomiary przeprowadzaliśmy od paru lat w innych rejonach Tatr, dzięki czemu mamy już w tej materii pewne doświadczenie. Niemniej jednak, pomiary sprzętem amatorskim, choć nieraz dają dokładność do 1 metra, mogą w skrajnych przypadkach prowadzić do błędów nawet kilkunastometrowych. Dokładność takich pomiarów jest więc trudna do oszacowania. Bardzo istotną zaletą tych modeli GPS jest pomiar ciśnienia powietrza (a więc, pośrednio, wysokości) przez dodatkowo wbudowany aneroid. Stąd też przy jednoczesnym użyciu dwóch różnych urządzeń (z uśrednianiem wyników) oraz niezależnego aneroidu, a następnie po ostrożnej interpretacji wyników, możemy bezpiecznie oczekiwać kilkumetrowej dokładności (Tabela 2).

Topografię badanego terenu ilustruje dołączona mapka graniowa (Rys. 3). Kwadratem oznaczono na niej obszar zwornikowy dla grani Hrubej Turni (ok. 2063). Trójkąt oznacza położenie austriackiego

punktu triangulacyjnego (kota 2050), znajdującego się na niewybitnej kulminacji pn. grzędy Zmarzłej Kopki. Wyniki naszych pomiarów terenowych zawiera Tabela 1. Współrzędne geograficzne zostały tam zaokrąglone do 0,5 sekundy, co oznacza 10 m długości, a nieco ponad 15 metrów szerokości geograficznej. Jest to dokładność nieprzekraczalna dla możliwości amatorskich urządzeń GPS. Wysokość zaokrąglono do 1 metra, choć rzeczywista dokładność może być mniejsza, rzędu ± 5 m.

Głównym problemem było przypisanie KpPG do jednej z dwóch dolin głównych: Doliny Litworowej lub Doliny Świstowej. Wizja lokalna jednoznacznie wykazała, że nie może być mowy o powierzchniowym odpływie wód do którejkolwiek z tych dolin, gdyż KpPG jest od obu oddzielony grzbiem morenowym o wysokości co najmniej kilku metrów i o znacznej szerokości. Grzbiet spadający od Wielickiego Szczytu tworzy tam wielkie siodło *Litworowej Przehyby* – dawniej nieznanego, gdyż ścieżka na Polski Grzebień prowadziła Doliną Świstową. Dalej pn. grań otaczająca KpPG przestaje być grania, a staje się połażowanym „polem zwornikowym”. Poprowadzenie tam linii graniowej jest praktycznie niemożliwe. Właśnie od tego „pola zwornikowego” (ok. 2063) odchodzi ku pn. grań Hrubej Turni – jest to dobry przykład „zwornika bez zwornika” – jak widać, ustalenie linii graniowej nie zawsze jest możliwe z matematyczną dokładnością! Dalej KpPG jest odgraniczony od Doliny Świstowej przez niewybitny grzbiet, wznoszący się ku Dzikiej Turni. Za „polem zwornikowym” znajduje się drugie, niewybitne, szerokie siodło, które *per analogiam*, nazwaliśmy Świstową Przehybą (ok. 2060), stanowi ono bowiem bramę do Doliny Świstowej, tak jak Litworowa Przehyba jest bramą do Doliny Litworowej. Istotnym a nieoczywistym wynikiem było stwierdzenie, że Świstowa Przehyba jest wyższa od Litworowej Przehyby (około 10 metrów różnicy). W języku teorii dominacji^{18,19}, oznacza to, że dla Hrubej Turni bezpośrednim szczytem dominującym jest Staroleśny Szczyt, a nie Gerlach. Nazwy słowackie oraz porównanie naszych pomiarów

Tabela 2. Wyniki pomiarów terenowych

nazwa [polska]	wysokość (GPS+altimetr)	współrzędne GPS	
		długość E	szerokość N
Litworowa Przehyba	ok. 2047	20° 08' 12,5"	49° 10' 36,0"
Świstowa Przehyba	ok. 2060	20° 08' 18,0"	49° 10' 37,5"
Zmarzły Staw [brzeg NW]	ok. 2043	20° 08' 15,0"	49° 10' 35,0"
zwornik Hrubej Turni [„pole”]	ok. 2063	20° 08' 13,5"	49° 10' 38,5"
Zmarzła Kopka	ok. 2076	20° 08' 11,5"	49° 10' 41,5"
Zadni Litworowy Przechód	ok. 1991	20° 07' 57,5"	49° 10' 46,0"
Litworowa Czubka	ok. 2004	20° 07' 55,0"	49° 10' 47,0"
Skrajny Litworowy Przechód	ok. 1988	20° 07' 55,5"	49° 10' 49,0"
Niżnia Litworowa Przehyba	ok. 2025	20° 07' 51,5"	49° 10' 51,5"
Świstowy Przechód	ok. 1964	20° 07' 53,0"	49° 10' 56,5"
Świstowa Kopka	ok. 1973	20° 07' 56,5"	49° 10' 57,0"

Nowe, proponowane przez nas nazwy podane są wytłuszczonym drukiem. Pomiary współrzędnych zaokrąglone są do 0,5", co zgodnie jest z dokładnością amatorskich urządzeń GPS. Wysokości zaokrąglono do 1 metra, choć dokładność pomiaru może wahać się w granicach ± 5 metrów.

z dotychczas publikowanymi (wraz z podaniem źródeł), podaje Tabela 3. W przypadku bardziej ewidentnych rozbieżności podajemy dwie różne wysokości i dwa źródła.

Pd. grań Hrubej Turni. Od wspomnianego wyżej „pola zwornikowego”, odchodzi ku pn. dość wybitna grań Hrubej Turni, oddzielająca Dolinę Litworową od Doliny Świstowej. Pierwsze niewybitne i obłe wzniesienie w tej grani nazwaliśmy Zmarzłą Kopką (ok. 2076), gdyż jest to pierwsze wzniesienie na pn. od Zmarzłego Stawu. Od tego punktu grań staje się wyraźna. Na obie strony możliwe jest zejście bez trudności (0-), w tym do bardzo bliskiego, znakowanego szlaku w Dolinie Litworowej. Po niewybitnym siodelku (ok. 4 m poniżej następnej czubki), grań nieznacznie wznosi się na kolejną czubę, z której dość znacznie opada na nienazwane trawiaste siodelko. Proponujemy dla tego siodelka nazwę Zadni Litworowy Przechód (ok. 1991). Siodelko to oddzielone jest od następnego, bardzo podobnego siodelka, czuba, która

od strony Doliny Litworowej ma całkiem „poważny” wygląd oraz spore skaliste ścianki. Czubę proponujemy nazwać Litworowa Czubka (ok. 2004), jako że przedstawia się ona całkiem okazale od strony Doliny Litworowej. Za nią znajduje się drugie siodelko, dla którego proponujemy nazwę Skrajny Litworowy Przechód (ok. 1988).

Oba siodła Litworowego Przechodu leżą na prawie identycznej wysokości. Jednakże pd. z nich (Zadni Przechód) jest nieco dogodniejsze do przejścia pomiędzy Doliną Świstową a Litworową (trudności 0-/0). Przejście to, jak dotąd, nie zostało opisane w literaturze przewodnikowej (sic!). Właśnie znaczenie komunikacyjne naszego siodelka, jako wygodnego przejścia do sąsiedniej doliny, spowodowało nas do nazwania go „przechoodem”.

Dalej grań zaczyna się wznosić i osiąga kulminację, wyraźnie widoczną z Doliny Litworowej, Żebra Żuławskiego, którym 27.VI.1935 roku wspinał się Wawrzyniec Żuławski, przepatrując pd. ścianę Hrubej Turni. Droga Żuławskiego wychodzi



na bardzo niewybitne siodelko, znajdujące się tuż obok kulminacji żebra. Jak już wspominaliśmy, siodelko to WHP nazwał Wyżnią Litworową Przehybą (ok. 2025), choć znajduje się ono znacznie poniżej i w sporej odległości od Litworowej Przehyby. Dalej skalna grań wyprowadza już na Hrubą Turnię, ale z samego siodelka w prawo (ku wsch.) można turystycznie (0) zejść na niewybitny grzbiet, spadający z grani na Świstowy Przechód (ok. 1964) i dalej na Świstową Kopkę (ok. 1973). Ostatni punkt triangulowany był w przeszłości, nasz pomiar wykazał dobrą zgodność z pomiarem triangulacyjnym (1976, różnica z naszym pomiarem = +3 m).

Pn. grań Hrubiej Turni. Naszą uwagę zwróciła również *Średnia Turnia* (1819), triangulowana przez Austriaków, powtórzona na mapie TT z 1903 roku, a następnie powtarzana wielokrotnie, m. in. na przedwojennej mapie fotogrametrycznej WIG²³ i na mapach Zwolińskiego aż do 1948 roku²⁴. Nazwa ta nie występuje w żadnych współczesnych mapach i przewodnikach. Jednakże pomiar odległości tej koty od wierzchołka Hrubiej Turni (ok. 475 m w linii prostej) wskazuje, że chodzi tu o *Dwojaki* (słow. *Dvojca*, Bohuš 1970) – turnię znajdującą się przy końcu pn.-zach. grani, w pn.-zach. żebrze Hrubego Rogu.

Grań ta, szczególnie w źródłach słowackich, jest powodem dużego zamieszania. U Puškaša (AP4) kota 1819 przypisana jest turni nazwanej *Prostredná hrubá vežička*, co jednak na zamieszczonym tam panoramie odpowiada Zadniej Hrubiej Czubie (por. AP4, zdjęcie XIV/4 i WHP13, rys. 323).

Tabela 3. Nazwy i mierzone wysokości

nazwa	wysokość npm			
	polska	słowacka	oficjalna	źródło
Litworowa Przehyba	Litvorová priehyba	2050	WHP13	2047
Świstowa Przehyba	Svištová priehyba	b/d	n/d	2060
Zmarzły Staw	Zamrzuté pleso	2043/2047	Harmanec/WHP13	2043
zwornik Hrubiej Turni	b/d	b/d	n/d	2063
Zmarzła Kopka	b/d	b/d	n/d	2076
Zadni Litworowy Przechód	b/d	b/d	n/d	1991
Litworowa Czubka	b/d	b/d	n/d	2004
Skrajny Litworowy Przechód	b/d	b/d	n/d	1988
Niżnia Litworowa Przehyba	Nižná Litvorová priehyba	b/d	n/d	2025
Hruba Turnia	Hruba veža	2096/2091	1903, AP4/Bohuš, 1969 ²⁰	b/d ²¹
Świstowe Stawki	Hrubé plso	1937/1930	WHP13/Geodis	b/d
Świstowy Przechód	Svištový priehod ²²	b/d	n/d	1964
Świstowa Kopka	Svištova kópka	1976	WHP13, str. 71	1973
Dwojaki [Średnia Turnia]	Dvojca	1819	1903	b/d

W przypadku rozbieżności w źródłach podajemy dwie wysokości.

Jest to niemożliwe, bowiem turnica ta znajduje się ponad 260 metrów poniżej wierzchołka Hrubiej Turni. Taka różnica wysokości jest tam niemożliwa, bo przewyższa największe ściany Hrubiej Turni. Wynika stąd, że Puškaš przesunął tę kotę znacznie ku pd. Co jednak mierniczy austriacy mieli na myśli, wpisując tę kotę i nazwę Średnia Turnia na mapie, tego nie wiemy – wymagałoby to dokładniejszych badań.

UWAGI TOPONASTYCZNE

Nazewnictwo dot. badanego rejonu jest bardzo ubogie na XIX – wiecznych mapach i w przewodnikach. Na mapie z 1903 roku znaleźć można nazwy: Dolina Litworowa (*Litvorová kotlina*), Dolina Świstowa, Polski Grzebień (*Poľský hrebeň*), Hruba Turnia, Litworowy Staw i Zmarzły Staw, a ponadto, wspomnianą wyżej nazwę Średnia Turnia (1819). W zasadzie wszystkie pozostałe nazwy wprowadzone zostały w przewodniku WHP13. Nasza ingerencja w te nazwy jest minimalna. Reasumując uzasadnienia:

Niżnia Litworowa Przehyba: zmiana z „Wyżnia” (WHP13) na „Niżnia” jest konieczna, gdyż to niewybitne siodelko znajduje się wyraźnie poniżej Litworowej Przehyby. Trudno powiedzieć, dlaczego Mistrz WHP wprowadził określenie „Wyżnia”, gdyż różnica wysokości jest tak duża, że widoczna „na oko”, bez przeprowadzania pomiarów. Ponadto, przełęcz ta jest na tyle niewybitna i nieistotna komunikacyjnie, że według nas w ogóle nie zasługuje na nazwę. Znajduje się ona stosunkowo daleko od Litworowej Przehyby, więc odniesienie do niej również jest pozbawione sensu. Nasza konkluzja jest taka, aby to niewybitne i nieistotne komunikacyjnie siodelko pozbawić jakiegokolwiek nazwy, aby ponad miarę nie tworzyć bytów...

- **Zmarzła Kopka:** tzn. pierwsza, kopka w pd. grani Hrubiej Turni, tuż za KpPG. Ponieważ zwornik dla tej grani nie istnieje (faktycznie jest to sporych rozmiarów pofałdowane pole), można by uznać, że pierwsza czubka w tej grani jest w przybliżeniu zwornikiem dla tejże grani. Jako że, ten hipotetyczny zwornik leży nad Zmarzłym Stawem, przez symetrię powinien być nazwany „Zmarzłym”, ewentualnie „Hrubym” (od odchodzącej odeń grani).

Określenie „Hruby” zdecydowaliśmy się jednak ewentualnie wykorzystać przy tworzeniu dalszych/kolejnych nazw) w dość rozbudowanej i odległej pn. grani Hrubiej Turni. Pozostało więc określenie „Zmarzły”.)

- **Litworowy Przechód, Zadni (pd.) i Skrajny (pn.):** nazwy te dotyczą dwóch łagodnych trawiastych siodel, odległych od siebie wzajemnie o ok. 100 metrów i o bardzo zbliżonej wysokości npm. Określenie „Litworowy” wprowadzamy przez analogię z Litworowymi Przehybami. Przechody są dobrze widoczne z Doliny Litworowej. Jak już wspomnieliśmy, nazywamy je przechodami z powodu istotnego komunikacyjnego znaczenia tych przełęczek. Szczególnie pd. z nich (Zadnia) stanowi najdogodniejsze przejście z Doliny Świstowej do Doliny Litworowej (0–/0), a także najdogodniejsze zejście z Hrubiej Turni.

- **Świstowa Przehyba:** to następna nazwa, nie spotykana dotąd w literaturze, którą pozwalamy sobie zaproponować. Dotyczy ona szerokiego siodła w grzbiecie idącym od „zwornikowego pola” ku Dzikiej Turni. Topograficznie bardzo istotnym faktem jest, że **siodło to znajduje się wyżej niż Litworowa Przehyba**. Różnica wysokości jest na tyle duża (około 10 m), że nie może być kwestionowana.

- **Litworowa Czubka:** to już ostatnia nazwa, jaką pozwalamy sobie zaproponować. Dotyczy ona czuby rozdzielającej Skrajny i Zadni Litworowy Przechód. Czuba ta od strony Doliny Świstowej jest mało wybitna, ale od strony Doliny Litworowej prezentuje się całkiem okazale, wraz ze swoimi (do dziś dziewiczymi!) zach. skalistymi ściankami. Czubka ta, wg naszych pomiarów, góruje nad ograniczającymi ją siodłami o ponad 10 metrów, co jest dodatkową miarą (jej) „wybitności”.

Nazewnictwo niepolskie, a zwłaszcza słowackie w tym rejonie zasługuje na szczególną uwagę, z powodu istniejących rozbieżności w kanonicznych źródłach. Nazwy węgierskie i niemieckie są kalkami językowymi nazw polskich i słowackich.

Wydany równocześnie z WHP13, czwarty tom przewodnika Puškaša (AP4) podaje nazwy *Velická priehyba* (Litworowa Przehyba, bez podania wysokości), dla podkreślenia jej związku z Wielickim Szczytem. **Hrubá veža** (Hruba Turnia) ma tu wysokość 2096, jak na mapach austriackich. Przysłowiowe „ostatnie słowo” w nazewnictwie słowackim, jakim jest dzieło Bohuša²⁵, odrzuca nazwy Puškaša, przychylając się do nazw WHP13 i objerając ich słowackie kalki jako kanoniczne. I tak napotykamy tam następujące słowackie nazwy (i koty): *Litvorová priehyba* (Litworowa Przehyba, ok. 2050), *Vyšná Litvorová priehyba* (Wyżnia Litworowa Przehyba). Hruba Turnia ma tutaj

podtrzymaną kotę, zgodnie z nowymi pomiarami słowackimi (2091).

Jeśli chodzi o nazewnictwo węgierskie i niemieckie, to nie jest ono tutaj zgodne. Litworowa Przehyba nazywana jest po węgiersku *Litvor-átjáró*²⁶, analogicznie jak po polsku, podczas gdy niemiecka nazwa wzięta jest od Puškaša: *Felker Sattel*²⁷. Analogicznie, te same źródła przyjmują odpowiednio nazwę węgierską *Felső-Litvor-átjáró* oraz niemiecką *Felker Kerbe* (Wielicki Karb)²⁸ na Wyżnią Litworową Przehybę (wg WHP).

Analizując dotychczasowe pomiary wysokości należy podkreślić, że dokonywane od lat 50-tych słowackie kartowania Tatr nie były zbyt precyzyjne. Widać to wyraźnie już chociażby po przyjrzeniu się słowackim mapom „sztabowym” (1:10.000)²⁹. Nazw oraz pomierzonych kot znajduje się tam niewiele, (a) część nazw, nawet bardziej znanych, jest błędnie zastosowana. Według „źródeł dobrze poinformowanych” jest to efektem niezbyt precyzyjnych pomiarów. Skutkiem tego, na mapach słowackich dane wysokościowe zmieniane były bardzo często (patrz Tabela 1).

PODSUMOWANIE

Naszym zasadniczym celem było wyjaśnienie pewnych problemów topograficzno-toponomastycznych rejonu Kotła pod Polskim Grzebieniem. Wizja lokalna w całej rozciągłości potwierdziła bezodpływowość tej dolinki, prawdopodobnie największego bezodpływowego rejonu w całych Tatrach. Dotychczas nigdy nie mierzona, Świstowa Przehyba, okazała się być bezdyskusyjnie wyższa od Litworowej Przehyby, co m. in. pociąga za sobą fakt, że dla Hrubiej Turni szczytem dominującym jest Staroleśny Szczyt. Nazwa Wyżnia Litworowa Przehyba, wprowadzona do nazewnictwa tatrzańskiego w WHP13 (1967) jest nie tylko nielogiczna (znacznie poniżej Litworowej Przehyby), ale (i zbędna) – to niewielkie i niepraktyczne siodelko w ogóle nie zasługuje na nazwę. Natomiast na nazwę zasługuje podwójne siodło przełęczy łączącej turystycznie (0) Dolinę Świstową z Doliną Litworową (Skrajny i Zadni Litworowy Przechód). Są to nie tylko najłatwiejsze i najdogodniejsze przejścia pomiędzy tymi dolinami, ale i najniższe obniżenia grani, znane już w czasach Kordysa. Podobnie, nazewnictwa Puškaša w tym rejonie nie można uznać za zadowalające, a opisy panoramek w AP4 są błędne. Jakkolwiek Bohuš słusznie przychylił się tu do stanowiska Paryskiego, to niestety mechanicznie powiela za WHP13 nazwę Wyżnia Litworowa Przehyba.

Analiza danych hipsometrycznych wskazuje, że pomiary prowadzone w tym rejonie były niedokładne, a koty były bezkrytycznie przepisywane

ze starszych źródeł. Dowodzą tego oficjalne mapy słowackie, publikujące coraz to inne wysokości. Nasze pomiary, jakkolwiek, z powodu prymitywnego, amatorskiego sprzętu, są niezbyt precyzyjne, to jednak wydają się wyjaśniać niektóre „tajemnice”.

Na koniec przypomnijmy, że choć nie jesteśmy w stanie precyzyjnie określić dokładności naszych pomiarów, to uwzględniając teorię, jak i nasze praktyczne doświadczenia, możemy bezpiecznie twierdzić, że dokładność współrzędnych geograficznych powinna być lepsza niż 1", a najprawdopodobniej wynosiła blisko 0,5" (kilkanaście metrów w terenie). Natomiast dokładność pomiarów wysokości, dzięki sprzężeniu urządzeń GPS z aneroidami była lepsza i wynosiła ok. ±5 metrów. We wszystkich punktach brana była średnia z dwóch niezależnych urządzeń GPS, co dodatkowo umożliwiało kontrolę błędów.

¹⁸ E. Jurgalski, „Dominanz Prinzipien”, w: *Wissenschaftliches Alpenvereinsheft Nr 39, DAV Monachium 2004*, str. 63-65 i 130-139, <http://www.alpendominanzen.extreme-collect.de/Dominanzprinzip.htm>; A. Maizlish, „Prominence theory” (Oct 2004), <http://www.peaklist.org/theory/theory.html>.

¹⁹ P. Mielus, „Korona Tatr: Studium nad wybitnością szczytów tatrzańskich”, *Magazyn Górski nr 35 (Grudzień 2005)*.

²⁰ *Vysoké Tatry, 1:50.000, wyd. 2, Kartografia Bratislava, nakład 1969.*

²¹ *Jeden z autorów (PGM) dn. 24.IX.2006 dokonał pomiaru z pomocą samego tylko altimetru różnicy wysokości pomiędzy Skrajną Litworową Przehybą a Hrubą Turnią. Zgodnie z teorią prominencji, Skrajna Litworowa Przehyba jest przełęczą graniczną dla Hrubej Turni. Wskazania altimetru dały różnicę ok. 100-105 m, co sugeruje, że Hrubą Turnią jest szczytem „P100” (czyli współczynnik „minimalnej deniwelacji względnej” MDW jest nie mniejszy od 100 m). Dokładność różnicowego pomiaru altimetrem można naszym zdaniem oszacować jako +/- 5 m.*

²² *Nazwy Svišťový prieťah i Svišťová kôpka wprowadził Paryski w 1967 roku [WHP13, str. 71].*

²³ *Fotogrametryczna mapa Parku Narodowego Tatry (część polska), 1:20.000, WIG Warszawa 1934.*

²⁴ *Tatry. Mapa turystyczna, 1:50.000, wyd. 2, Zwoliński Zakopane 1948.*

²⁵ *I. Bohuš, Od A po Z o názvoch Vysokých Tatier, ŠL TANAP Lomnica Tatrzárska 1996, str. 152-155.*

²⁶ *Komarnicki Gyula, A Magas-Tátra hegyvilága, Sport Budapest 1985, wyd. 2.*

²⁷ *Klaus Gatteringer, Die Hohe Tatra, ViViT Kiezmark 2003, str. 93.*

²⁸ *Ernst Hochberger, Die Namen der Hohen Tatra in Vier Sprachen. Herkunft und Bedeutung, Karpathendeutsches Kulturwerk Slowakei Karlsruhe 2007, str. 92.*

²⁹ *Mapy sztabowe 1:10.000, wyd. 1, Bratysława Urząd Geodezji i Kartografii 1984, arkusze 27-33-02 i 27-33-03 (reambulacja 1979-1984).*

Jaki powinien być dobry instruktor?

Bogusław Kowalski

„Dobry instruktor to taki, do którego wysłabym na kurs własne dziecko”.

To powiedzenie funkcjonuje w środowisku szkoleniowym od dawna i przewrotnie opisuje zbiór cech, umiejętności oraz wiedzy, którą musi posiadać instruktor wspinania. W naturalny sposób nasuwa się pytanie, czym się wyróżnia tytułowy dobry instruktor? Odpowiadając na to pytanie, dowiemy się czego należy nauczać na kursach instruktorskich. Uściślając, moje rozważania dotyczą szkoleniowca przygotowującego do samodzielnej działalności w górach.

W poszukiwaniach wzoru idealnego instruktora świadomie pomijam umiejętności wspinaczkowe oraz techniczne – po prostu dobry instruktor MUSI być fachowcem od wspinania. Sprawność fizyczna,

warsztat pracy instruktora a więc: znajomość wspinaczkowych dróg kursowych, znajomość sprzętu wspinaczkowego, biegłość posługiwania się tym sprzętem, znajomość topografii, meteorologii, taktyki, strategii, fizjologii, a także znajomość historii alpinizmu oraz literatury przedmiotu są dla mnie oczywiste i nie stanowią tematu niniejszego wywodu. Pomijam również, niezbędną każdemu instruktorowi, umiejętność przekazywania wiedzy, a także profesjonalny ubiór oraz schludność.

Co jest zatem istotne? Przede wszystkim należy pamiętać, że szkolenie wspinaczkowe odbywa się



w małej grupie, w której zachodzą relacje interpersonalne. Na kursy dla początkujących trafiają osoby z określonym bagażem obaw i lęków, doświadczeń oraz postaw. A samo szkolenie przebiega często w trudnych warunkach atmosferycznych oraz w okolicznościach, w których stałym elementem jest ekspozycja i ciągły stres towarzyszący wspinaczce. Dlatego instruktor musi odznaczać się wyjątkowymi cechami charakteru, umiejętnościami interpersonalnymi, a także kulturą osobistą. Do lamusa odeszli już instruktorzy, których sposób bycia był na tyle specyficzny, że stał się tematem legend. Niektórym z byłych kursantów do dziś na wspomnienie pewnych nazwisk cierpnie skóra. Być może doczekamy się kiedyś opisanie niezapomnianej szkoły bycia macho. Należy także pamiętać o cesze, którą moim zdaniem każdy instruktor powinien obowiązkowo posiadać – o poczuciu humoru. Nie trzeba tłumaczyć jak bardzo ułatwia ono kontakty międzyludzkie. Najważniejsze jednak jest aby dla instruktora wspinanie, ale przede wszystkim szkolenie, było PASJĄ. Jeśli instruktor nie będzie podchodził do swojej pracy z zamiłowaniem, to będzie co najwyżej rzemieślnikiem. Wśród sprzedawców i przedstawicieli handlowych krąży powiedzenie: „nikt nigdy nie sprzedał nikomu niczego, zanudzając go na śmierć”. Instruktor bez pasji nie zarazi, w pozytywnym tego słowa znaczeniu, wspinaniem żadnego kursanta. Gdy sam byłem na kursie instruktorskim, to usłyszałem, że obserwujący grupę szkoleniową nie powinien mieć wątpliwości, która z osób jest instruktorem, a która kursantem. I wcale nie chodzi tu o wydawanie komend czy też o zewnętrzne atrybuty instruktora. Innymi słowy, instruktor musi posiadać cechy prawdziwego przywódcy. Jednym z atrybutów przewodzenia jest właśnie wspomniana pasja.

Zadajmy sobie pytanie: Co instruktor powinien przekazywać swoim kursantom? Doszedłem do wniosku, że co prawda istotne są tu wiedza i umiejętności, jednak o wiele ważniejsze są wartości, które wpajał mi moi Mistrzowie. Dla nich nie ważne było to, czy moja kariera zakończy się na drogach pokonanych na kursie, czy też wejdę na górę odpowiedniej wysokości. Istotne było to, abym swoje szczyty zdobywał zgodnie ze swoimi przekonaniami oraz zasadami, jakie obowiązują w środowisku. Tak samo mnie zależy na tym, żeby ci, którzy „wyszli spod mojej ręki” mieli poczucie autentyczności tego, co robią. Te rozważania skierowały mnie w stronę pytań, które sformułował ksiądz Rusiecki odnośnie zawodu nauczyciela, a które mogą przybliżyć definicję dobrego instruktora.

1. Czym tak naprawdę imponuję swoim kursantom?
2. Co powoduje, że chcą mnie słuchać?
3. W jaki sposób zabezpieczam się przed rutyną?
4. Na ile udało mi się uratować radość, płynącą z wykonanej pracy?
5. W jakim stopniu pogłębiam swoją wiedzę?
6. Ile cierpliwości mam w tłumaczeniu, upomnieniu, przekonywaniu?
7. Jak rozumiem tolerancję i jaki jej daję wyraz?
8. Jak oddziałuję na grono instruktorskie?
9. Co inni mogą odczytać z mojego zachowania?
10. Na ile jestem przekonany, że jako instruktor mam najpiękniejszą misję do spełnienia?
11. Na ile stoję na wysokości zadania?

Zastanawiając się nad odpowiedziami, zacząłem szukać wśród swoich kolegów-instruktorskich cech, które chciałbym osiąść. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że profesjonalizm jest tylko jednym z elementów ich warsztatu. Zdecydowanie najbardziej imponuje mi sposób bycia, empatia, kontaktowość, sugestywność oraz wiedza pozamerytoryczna. Czyli cechy, które sprawiają, że kursanci w czasie wspólnie prowadzonych przez nas zajęć i wykładów słuchają z większym zaciekawieniem właśnie tych, a nie innych kolegów. Pozytywne nastawienie i żarzący optymizm instruktorski pozwala im na dotarcie do najtrudniejszych kursantów. Natomiast fascynacja innymi aspektami życia: kinem, literaturą, historią czy przyrodą, wspaniałe wzbogacają postacie moich kolegów. Co więcej, zauważyłem, że najbardziej cenię tych, którzy mają najwięcej pokory wobec ludzi oraz gór. I potrafią tę pokorę, ten szczególnie szacunek, który okazują otoczeniu, zaszczerpieć swoim podopiecznym.

Jaki więc powinien być ten mityczny instruktor? Z pewnością musi być PROFESJONALISTĄ zarówno w aspekcie merytorycznym, jak i wspinaczkowym. Musi CHCIEĆ pokazywać wspinanie, czyli być kimś, kogo cieszy uczenie innych. Musi być WZOREM partnera, którym można się pochwalić i który pozostanie na długo w pamięci jako wzór do naśladowania. Aż wreszcie musi być kimś, z kim mamy ZASZCZYT wiązać się jedną liną. Do kogoś takiego bez wahania można wysłać dziecko na kurs wspinaczkowy.

Bogusław Kowalski
Instruktor taternictwa
Polskiego Związku Alpinizmu



Mięśnie brzucha

Kornelia Drozda

Prawdopodobnie każdy z nas, albo prawie każdy, odkrył kiedyś, że ma „za słabe mięśnie brzucha”. Taką refleksją działa szalenie mobilizująca i pobudza do natychmiastowego

podjęcia morderczego treningu. Tysiące „brzuszków” wykonuje się zwykle leżąc na plecach, z nogami ugiętymi lub prostymi, z podnoszeniem stóp, bądź ich przytrzymywaniem na ziemi, ze skrętami lub na wprost, wreszcie z rękami na głowie, na karku, na brzuchu, skrzyżowanymi lub wzdłuż tułowia. Niektórzy ćwiczą wisząc na na drążku. Tymczasem należy zdać sobie sprawę, że nie każde „ćwiczenie na mięśnie brzucha” ćwiczy tak naprawdę mięśnie brzucha. Trzeba również wiedzieć, że wszystkie „brzuski” są ćwiczeniami bardzo obciążającymi struktury kręgosłupa i warto stosować te, które są najmniej ryzykowne.

Na wstępie należy stanowczo zaprzeczyć powszechnemu pogładowi, jakoby ćwiczenia mięśni brzucha powodowały likwidację zebranej wokół bioder warstwy tłuszczu. Badania wykazały, że nie istnieje korelacja między ćwiczoną częścią ciała, a miejscem, w którym redukcji ulega tkanka tłuszczowa. Redukcja tkanki tłuszczowej jest bowiem procesem uogólnionym, a miejsca, w których jej ubywa mniej lub więcej, są uzależnione od cech danego organizmu. W jej pozbywaniu się pomóc może jedynie właściwe odżywianie, wsparte podejmowaniem ponad 30-minutowych wysiłków tlenowych (czyli wysiłki na poziomie około 60-70% tętna maksymalnego¹).

Mówiąc o mięśniach brzucha, myślimy przede wszystkim o mięśni prostym brzucha i mięśniach skośnych brzucha (wewnętrznych i zewnętrznych). Mięsień prosty i obustronne działanie mięśni skośnych są odpowiedzialne za zginanie tułowia w przód, co stanowi pracę antagonistyczną w stosunku do mięśnia prostownika grzbietu. Jednostronna praca mięśni skośnych brzucha powoduje skłon tułowia w bok oraz jego ruchy skrętne. W poczet mięśni brzucha zalicza się także mięsień poprzeczny brzucha, który w mniejszym stopniu sprawuje funkcję ruchową, za to odgrywa bardzo istotną rolę w mechanizmie stabilizacji tułowia.

Ogólnie mięśnie brzucha pełnią w organizmie następujące funkcje:

- funkcja ruchowa:
 - biorą udział w motoryce dowolnej tułowia (ruchy zgięcia tułowia w przód i na boki oraz ruchy skrętne);
 - jako mięśnie pomocnicze oddechowe wspomagają wydech;
- funkcja ochronna i stabilizacyjna:
 - stabilizacja tułowia w postawie wyprostowanej;
 - kształtowanie właściwej postawy ciała (wpływ na krzywizny kręgosłupa);
 - odciążanie i ochrona struktur kręgosłupa;
 - stabilizowanie kręgosłupa w stosunku do ruchliwych kończyn;
 - ochrona narządów wewnętrznych jamy brzusznej;
 - mechanizm tłoczni brzusznej (udział w procesach defekacji i mikcji).

Wymienione funkcje wskazują jak niezwykle ważną rolę w organizmie ludzkim odgrywają mięśnie brzucha. Aby jednak w pełni zrozumieć pracę tych mięśni, należy przeanalizować otaczające je grupy mięśniowe oraz przyrzeć się ich budowie morfologicznej. Zaczniemy od tego drugiego.

Czeski neuroortopeda, Vladimir Janda na drodze badań zauważył, że mięśnie wykazują zróżnicowanie w budowie morfologicznej, co ma bezpośrednie przełożenie na ich funkcje w organizmie. Na podstawie tych obserwacji dokonał podziału mięśni na dwie grupy czynnościowe. Pierwszą grupę stanowią mięśnie fazowe, które odpowiadają za świadome, precyzyjne i możliwie najszybsze ruchy (funkcja dynamiczna). Drugą grupę stanowią mięśnie posturalne, których funkcją jest utrzymywanie prawidłowej postawy ciała, jak również podtrzymywanie niektórych czynności organizmu (jak np. ruchy oddechowe czy utrzymywanie głowy w pionie). Są to zatem mięśnie wykonujące czynności zarówno zależne od woli człowieka, jak i takie, które odbywają się poza jego świadomością. Człowiek wszak nie zastanawia się jak napiąć poszczególne mięśnie, by utrzymać np. pozycję pionową. Istnieje wiele różnic w funkcjonowaniu mięśni fazowych i posturalnych, jednak szczegółowe ich omówienie nie mieści się w zakresie tego artykułu. Zainteresowanych odsyłam do pozycji podanych w bibliografii. Dla nas najważniejsze jest stwierdzenie, jak te mięśnie reagują na ich zbyt intensywne obciążanie (zarówno ruchem jak i innymi czynnikami stresowymi) oraz jak zachowują

się w przypadku unieruchomienia, czy zbyt małej aktywizacji.

Reakcją mięśni fazowych na brak lub ograniczenie ruchu jest bardzo szybki ubytek masy mięśniowej, co przekłada się na redukcję ich siły. Mięśnie te, obciążane nadmierną pracą czy czynnikami stresowymi, nie wykazują tendencji do przykurczy, może wręcz wystąpić ich rozluźnienie, ograniczenie aktywności, a w skrajnych przypadkach, zanik. Z kolei mięśnie posturalne, na powtarzające się czynniki przeciążające reagują hiperaktywnością, co przejawia się ich wzmocnionym napięciem i przykurczami. Podczas unieruchomienia mięśnie te tracą na sile i masie bardzo powoli.

W warunkach prawidłowych mięśnie fazowe i posturalne idealnie ze sobą współpracują. Wówczas układ ruchu funkcjonuje optymalnie, w sposób najbardziej korzystny i ochraniający poszczególne części ciała. Zachowane zostają właściwe stereotypy ruchowe – ruchy danych części ciała odbywają się przy właściwej stabilizacji pozostałych członów. W przypadku braku równowagi między stabilnością a mobilnością, prędzej czy później dochodzi do wadliwego ustawienia poszczególnych części ciała względem siebie, co musi prowadzić do zaburzeń ich funkcji, przeciążeń i dalej, dolegliwości bólowych.

Teraz przypatrzmy się grupom mięśniowym okolic kręgosłupa lędźwiowego i miednicy. Można w dużym uproszczeniu powiedzieć, że mamy tu do czynienia z 4 grupami mięśniowymi w dużym stopniu odpowiadającymi za równowagę statyczną tego obszaru. Pierwsze dwie – mięśnie brzucha i mięśnie grzbietu – odpowiadają za ruchy zgięcia i wyprostu kręgosłupa lędźwiowego. Dwie kolejne to mięśnie prostujące kończyny dolne w stawie biodrowym (mięśnie pośladkowe) i zginające w tymże stawie (mięśnie zginacze bioder, głównie mięsień biodrowo-lędźwiowy i mięsień prosty uda). Mięśnie brzucha, jak i mięśnie pośladkowe należą do mięśni fazowych, co tłumaczy ich naturalną tendencję do osłabienia. Z kolei mięsień prostownik grzbietu w odcinku lędźwiowym, jak i grupa zginaczy bioder to mięśnie posturalne wykazujące tendencję do nadmiernego napięcia i przykurczy.

Spójrzmy teraz na człowieka współczesnej cywilizacji. Warunki, jakie sami sobie stwarzamy sprawiają, że ograniczona zostaje spontaniczna aktywność ruchowa (w tym ruchy lokomocyjne, jak chód i bieg), na korzyść przyjmowania pozycji statycznych, głównie siedzenia i stania. W takim układzie, stałemu przeciążeniu ulegają mięśnie posturalne, a stopniowemu zanikowi i osłabieniu – mięśnie fazowe (m.in. mięśnie pośladkowe i mięśnie brzucha).

Szczególnie niebezpieczną dla statyki ciała jawi się pozycja siedząca, w której (poza wieloma innymi niekorzystnymi czynnikami) mm. brzucha jak i mm. pośladkowe są po prostu nieaktywne. Ponadto w siodle dochodzi do zbliżenia przyczepów mięśni zginaczy bioder, co dodatkowo ułatwia powstawanie ich przykurczy. Takie zaburzenia prowadzą bezpośrednio do tego, że miednica ciągnięta przez mięśnie zginaczy bioder ustawia się w pozycji pogłębionego przodopochylenia, czego nie są w stanie zrównoważyć osłabione mięśnie brzucha i mięśnie pośladkowe. Miednica w takiej pozycji pociąga za sobą odcinek lędźwiowy, który ulega wówczas nadmiernemu wygięciu w przód (powstaje tzw. hiperlordoza lędźwiowa). Tego rodzaju długotrwała nierównowaga statyczna może stanowić podstawę licznych dolegliwości bólowych kręgosłupa. A ośmielę się stwierdzić, że większość z nas ma tego typu problemy.

Na tym etapie wydaje się, że podjęcie intensywnego treningu wzmacniającego mięśnie brzucha i pośladkowe jest słusznym postępowaniem, przeciwdziałającym skutkom nierównowagi statycznej w obrębie miednicy. Tak jest w istocie, jednak aby uzyskać rezultaty, na których nam zależy, należy zdać sobie sprawę z kilku faktów.

Chodzi przede wszystkim o najsilniejszy mięsień zginający biodra – mięsień biodrowo-lędźwiowy. Składa się on z mięśnia lędźwiowego, który ma swój początek w kręgach odcinka lędźwiowego oraz mięśnia biodrowego, zaczynającego się w dole kości biodrowej (na miednicy). Mięśnie te mają wspólny przyczep końcowy na krętarzu mniejszym kości udowej, a ich podstawową funkcją jest zginanie kończyny dolnej w biodrze lub, w przypadku, gdy kończyna dolna jest ustabilizowana, może on pochyłać miednicę (a z nią cały tułów) ku przodowi. Mięsień biodrowo-lędźwiowy jest intensywnie wykorzystywany podczas wszelkich czynności lokomocyjnych (chód, bieg, wchodzenie po schodach), dlatego zwykle nie potrzebuje on dodatkowego wzmacniania. Co więcej, jako mięsień posturalny, zwykle ma tendencję do nadmiernego napięcia i skracania swojej długości. Jeśli zginacze bioder nie są w porę rozluźniane i równoważone mięśniami brzucha i pośladkowymi, pojawia się wspomniana nierównowaga statyczna, której obrazem jest nadmierne wygięcie odcinka lędźwiowego ku przodowi i towarzyszące temu bóle.

Niestety większość tzw. „brzuszków” wzmacnia nie tyle mięśnie brzucha, czego byśmy sobie życzyli, ile właśnie mięśnie biodrowo-lędźwiowe. Mięśnie brzucha są odpowiedzialne za zbliżanie własnych przyczepów, czyli mostka i żeber do kości łonowej (miednicy). Jeżeli ćwiczymy w pozycji

leżenia tyłem z nogami ugiętymi, to taki ruch występuje wtedy, gdy odrywamy tułów od podłoża mniej więcej do kąta 15 stopni. Dalszy ruch (czyli dążenie do siadania) zachodzi w stawach biodrowych i za niego odpowiadają już mięśnie zginacze bioder.

Aby zminimalizować współdziałanie mięśni zginaczy bioder podczas ćwiczeń mięśni brzucha, warto zastosować dwa zabiegi. Pierwszym z nich jest maksymalne zgięcie nóg w stawach biodrowych (stopy mogą spoczywać na podłożu lub na taborecie ze zgięciem kolan pod kątem prostym). Zaleca się zgięciem biodrach w granicach 50-90 stopni. Drugim zabiegiem, który równocześnie aktywizuje mięśnie pośladowe, jest równoczesne wbijanie stóp w podłoże podczas unoszenia tułowia. Z tego też względu nie jest korzystne, kiedy zahacza się stopy np. o drabinki lub prosi się kogoś o ich przytrzymanie przy podłożu. Warto samemu walczyć o to, by one się nie odrywały, a najlepiej wręcz docisnąć je do podłoża.

Jeśli chodzi o ćwiczenia na mięśni brzucha w zwisach na drążku, są to ćwiczenia w dużej mierze angażujące mięśnie zginające biodra. Najczęściej powtarzane unoszenie obu nóg prostych w kolanach do poziomu to ruch głównie w stawach biodrowych. Dodatkowo wyprost nóg powoduje przedłużenie dźwigni, co intensyfikuje pracę mięśni zginających biodra. Dlatego pomimo tego, że ściana mięśni brzucha w czasie tego ruchu jest napięta, to jednak ogromną pracę siłową wykonują mięśnie zginacze bioder. Nie chcę przez to powiedzieć, że zupełnie należy zaniechać tego typu ćwiczeń. By uzyskać jednak bardziej pożądane efekty (lepsze wzmocnienie mięśni brzucha z ograniczeniem wzmocnienia zginaczy bioder) wystarczy zgiąć nogi w stawach kolanowych i przyciągać je wysoko, niemal do klatki piersiowej. Ćwiczenia w zwisach są jednak przeznaczone tylko dla osób bardzo dobrze wyćwiczonych, które nie doświadczają dolegliwości bólowych kręgosłupa.

Warto pamiętać o tym, by po każdej sesji treningowej, jak również po każdej sesji przedłużonego siedzenia, rozciągnąć sobie zginacze bioder.

Kolejną sprawą jest obciążenie wywierane na krążki międzykręgowe odcinka lędźwiowego podczas ćwiczeń mięśni brzucha. Im dłuższa będzie dźwignia i im więcej elementów skrętnych w ćwiczeniu, tym to obciążenie będzie większe. Jest to istotne przede wszystkim dla osób, które z wielu względów chcą, albo wręcz powinny wzmocnić mięśnie brzucha, a u których występują dolegliwości bólowe kręgosłupa. Jako że większość z nas jest niemal skazana na wcześniejsze lub późniejsze wystąpienie bólu kręgosłupa (przepra-

szam za ten defetyzm, ale tak niestety jest) może warto zrewidować ćwiczenia, jakie zwykliśmy wykonywać. Nie zalecane zatem są wszelkie nożyce poziome czy pionowe, szczyryki, unoszenie prostych nóg, czy unoszenie tułowia przy wyprostowanych nogach. Należy się także zastanowić nad wykonywaniem skrętoskłonów. Jak to zostało bowiem wspomniane wyżej, mięśnie skośne brzucha w skurczu obustronnym odpowiadają za zgięcie tułowia w przód (przybliżanie żeber do miednicy). Dlatego przy „brzuszkach prostych” są one również wzmocniane. Osoby z dolegliwościami bólowymi kręgosłupa powinny wykonywać ćwiczenia mięśni brzucha bardzo powoli. Zdecydowanie należy zrezygnować z dynamicznych „zrywów”. Zaleca się ograniczenie liczby powtórzeń ćwiczenia na korzyść zatrzymywania tułowia nad powierzchnią podłoża na kilka sekund (mowa o brzuszkach w leżeniu na plecach).

Wykonując prawidłowe unoszenie tułowia do kąta 15 stopni należy także unikać nadmiernych ruchów szyi (wysuwanie głowy w przód). Jeżeli wykonuje się brzuski z rękami założonymi na kark czy z boku głowy, to zaleca się, by łokcie były cały czas skierowane w bok. Nie powinno się ich łączyć z przodu, nie powinno się też ciągnąć rękoma za szyję czy głowę.

Zostaje jeszcze omówienie pracy z oddechem. Mięśnie brzucha są mięśniami wspomagającymi wydech, dlatego w naturalny sposób napinają się one podczas wydechu właśnie. Nie inaczej jest podczas ćwiczeń na mięśnie brzucha. Przy napinaniu mięśni (czyli na przykład oderwaniu tułowia od podłoża) powinien następować wydech, a wdech przy ich rozluźnianiu. Wstrzymywanie oddechu przy napinaniu mięśni powoduje mechanizm tłoczni brzusznej (wzrost ciśnienia w jamie brzusznej), który nie jest w tym przypadku mile widziany. Mechanizm ten połączony z ruchem zginania tułowia wywołuje tzw. odruch Valsalvy, czyli zaburzenie powrotu krwi żyłnej do serca. Powoduje to obniżenie pojemności minutowej serca i spadek ciśnienia, co w skrajnych przypadkach może prowadzić do omdlenia, a nawet zapaści serca.

Na koniec warto jeszcze zwrócić uwagę na to, że w każdym „brzuszkach” mięśnie brzucha działają nie tylko podczas fazy unoszenia (nóg lub tułowia), ale także (nawet bardziej znacząco) w fazie opuszczania. Jest to tak zwana praca ekscentryczna, polegająca na kontrolowanym oddalaniu od siebie przyczepów danego mięśnia. Stąd ostatnia rada, by po fazie unoszenia nie „puszczać” danej części ciała pozwalając jej na niemal bezwładny opad na podłoże. Lepiej jest w sposób kontrolowany opuścić ją do pozycji leżenia.

Jest to postępowanie zwiększające efektywność ćwiczenia, a poza tym – dużo bardziej przyjazne dla naszego kręgosłupa.

¹ *Tętno maksymalne oszacowuje się przy pomocy wzoru: 220 minus wiek (w latach).*

Wszelkie uwagi proszę kierować na mój adres e-mail: kornelia.drozda@gmail.com

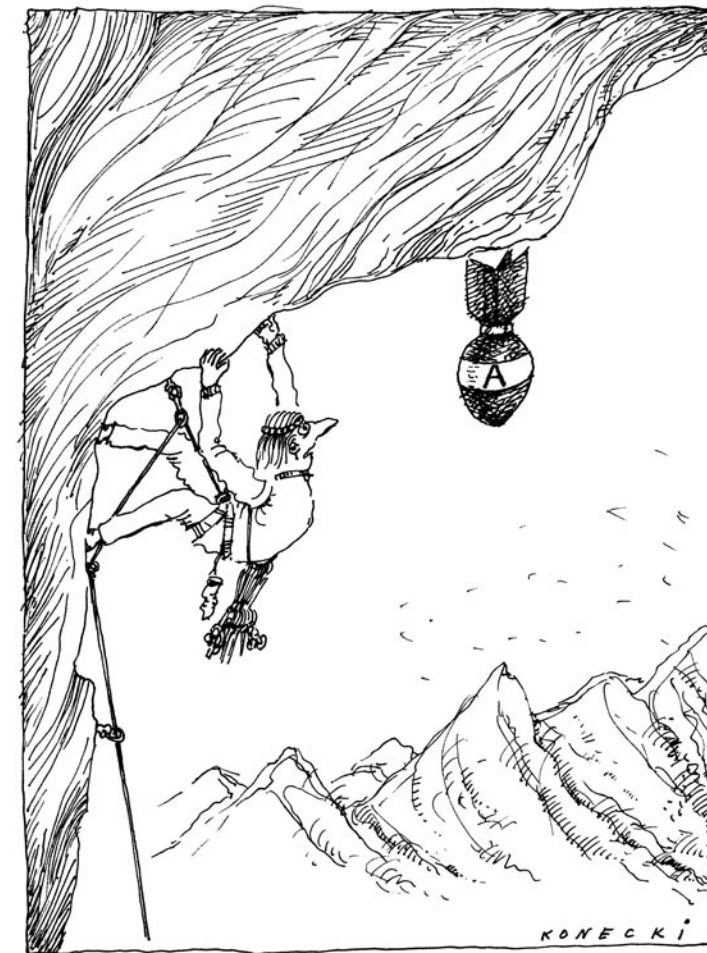
PS: Na koniec jednak chcę zwrócić uwagę na to, że silne mięśnie brzucha nie gwarantują jeszcze sukcesu w podejmowanych przez nas aktywnościach. Często bowiem

posługujemy się takimi stereotypami ruchowymi, które wcale nie uwzględniają mięśni brzucha, zatem ich siła jest w tym przypadku obojętna. Przykładowo, podczas ruchu prostowania tułowia z pozycji pochylecia, można napiąć mięśnie brzucha, lub tego nie zrobić. W pierwszym przypadku odciążony zostanie odcinek lędźwiowy kręgosłupa nawet o 30%, a sama czynność będzie dużo łatwiejsza (zwłaszcza, jeśli dodatkowo coś trzyma się w rękach). W drugim wariantcie, za cały ruch odpowiedzialne będą mięśnie głębokie grzbietu, co zwiększy niekorzystne obciążenie m.in. na kręgosłup. Podobnie rzecz się ma w przypadku biegania czy wspinaczki. Brak napięcia mięśni brzucha podczas tych aktywności oznacza brak stabilności tułowia, a przez to osłabienie ruchów kończyn jak i niebezpieczne obciążanie struktur kręgosłupa.

BIBLIOGRAFIA

- Kempf H.: Szkoła pleców. Wydawnictwo SIC! Warszawa 1994.
- Jorritsma W.: Anatomia na żywym człowieku. Wyd. Medyczne Urban & Partner, Wrocław 2004.
- Levit K.: Leczenie manualne zaburzeń czynności ruchu. PZWL, Warszawa 1984.
- Janda V.: Manuelle Muskelfunktionsdiagnostik. Ullstein & Mosby, Berlin 1994.
- Stodolny J.: Choroba przeciążeniowa kręgosłupa. Epidemia naszych czasów. Wyd. ZL „Natura”, Kielce 2000.
- Rakowski A.: Kręgosłup w stresie. Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne, Gdańsk 1999.

Z teki rysownika



Edyta Ropek zdobyła „Jedynkę”

Edyta Ropek została tegoroczną laureatką prestiżowej nagrody środowisk wspinaczkowych „Jedynka”. Podczas uroczystej gali, ostatniego dnia Krakowskiego Festiwalu Górskiego, zaprezentowano sześć finałowych nominacji i wyłoniono spośród nich zwycięzcę. Wśród wybitnych osiągnięć 2008 roku znalazły się dokonania następujących osób i zespołów wspinaczkowych:

- Kingi Baranowskiej,
- zespołu Michał Król, Andrzej Sokołowski i Przemek Wójcik,
- Edyty Ropek,
- Piotra Morawskiego,
- zespołu Wojciech Kurz, Artur Magiera i Paweł Wyciślik,
- zespołu Sławomir Cyndecki i Karolina Adamowska.

Spśród finalistów kapituła nagrody, w myśl zasady: „Jedno środowisko, jedna nagroda”, wybrała jedno, najwybitniejsze polskie dokonanie 2008 roku w dziedzinie szeroko pojętej wspinaczki i alpinizmu.

Oficjalny werdykt kapituły, nie przez przypadek, ogłosili Andrzej Marcisz i Krzysztof Pankiewicz.

Laureatką tegorocznej „Jedynki” została Edyta Ropek, której sukcesy w Pucharze Świata w konkurencji wspinaczki na czas zostały docenione przez środowisko wspinaczkowe!

Edyta nie kryła zaskoczenia. Odbierając nagrodę z rąk znanego himalaisty Leszka Cichego, powiedziała: „Jestem naprawdę wzruszona, to dla mnie ogromne wyróżnienie. Stałam już na podium pucharów świata, mistrzostw świata i Europy, ale ta nagroda jest dla mnie wyjątkowa, ponieważ jest przyznawana przez Was, przez środowisko wspinaczy.” Laureatka podziękowała członkom kapituły i internautom, którzy oddali na nią swoje głosy.

Piotr Xięski

Komisja Himalaizmu

W dniu 4 października 2008 roku, decyzją Zarządu PZA powołano Komisję Himalaizmu. Do kompetencji Komisji Himalaizmu należy działalność związana z uprawianiem alpinizmu w najwyższych górach Ziemi: Himalajach, Karakorum i innych górach Azji Wysokiej, których najwyższe szczyty przekraczają 7000 m.

Góry Azji Wysokiej:

- Himalaje (Mount Everest, 8848 m),
 - Karakorum (K2, 8611 m),
 - Hindukusz (Tirich Mir, 7706 m),
 - Pamir (Kongur Tagh, 7649 m),
 - Tien-szan (Pik Pobiedy, 7439 m),
 - Góry Chińsko-Tybetańskie (Minya Konka, 7556 m),
 - Kunlun (Peak 7167 m),
 - Transhimalaje (Gyala Peri, 7294 m),
 - Góry Wyżyny Tybetańskiej (Mayer Kangri, 7011 m).
- Pasma te biegną przez terytoria dziesięciu państw: Afganistanu, Pakistanu, Indii, Bhutanu, Birmy, Chin, Kirgistanu, Tadżykistanu, Kazachstanu i Uzbekistanu.

Rolą Komisji jest popieranie i promowanie w himalaizmie takich kierunków jak:

- eksploracja nowych terenów (Karakorum, góry na terenie Chin),
- pokonywanie dziewiczych ścian, grani,
- wytaczanie nowych dróg,
- dokonywanie pierwszych wejść zimowych na szczyty ośmiotysięczne,
- dokonywanie wejść w zespołach kobiecych,
- wyprawy kobiece.



Poludniowo-zachodnia ściana Nirekhi (fot. Jarek Skowron)

Do zadań Komisji należy również:

- popieranie i wyróżnianie ambitnych celów sportowych i wypraw organizowanych przez poszczególne kluby lub ich członków zrzeszonych w PZA,
- wybór aktualnych wybitnych celów sportowych,
- organizacja wyjazdów docelowych; zgrupowań treningowych i aklimatyzacyjnych,
- opiniowanie zgłoszeń i wniosków dotyczących rocznego kalendarza wypraw,
- prognozowanie zadań w zakresie himalaizmu na okresy kilkuletnie.

W skład komisji wchodzi: Danuta Wach – przewodnicząca komisji, Janusz Kurczab, Janusz Majer, Ewa Panejko-Pankiewicz, Janusz Skorek, Krzysztof Wielicki.

Z członkami komisji można się skontaktować pisząc pod adres kh@pza.org.pl.

Nirekha (6159 m) zdobyta przez Polaków

W dniu 13 listopada 2008 Grzegorz Kukurowski (Speleoklub Gawra, KW Poznań) i Jarek Skowron (Speleoklub Gawra) weszli na wierzchołek Nirekhi (6159 m). Nirekha (Nepal, rejon Khumbu) zdobyta została pierwszy raz w kwietniu 2003 przez Włochów lub Japończyków i do tej pory najprawdopodobniej nie posiadała polskiego wejścia. W ostatnich latach na szczycie udało się też stanąć wyprawie szwajcarskiej oraz kobiecemu zespołowi z Korei. Po kilku wyjściach aklimatyzacyjnych Grzegorz i Jarek założyli bazę wysuniętą na wysokości 5400 metrów u czoła lodowca spływającego spod Cho La Col. Sama akcja tent-to-tent zajęła im ok. 12 godzin. Wspinaczka miała charakter śnieżno-lodowy i biegła granią zachodnią, która na wysokości ok. 5800 metrów przechodzi w ścianę zachodnią. Trudności techniczne to pasaże lodowe do 50-60 stopni i jeden niedługi wyciąg ok. WI4. Wspinaczkę utrudniał bardzo silny, porywisty wiatr oraz duża ilość szczelin. Pierwotnym celem wyprawy było pierwsze polskie powtórzenie drogi amerykańskiej na północno-wschodniej ścianie Cholatse. Jednak brak lodu na pierwszych wyciągach planowanej linii oraz przebyta przez Grzegorza na początku wyprawy kilkudniowa infekcja leczona silnymi antybiotykami, spowodowały niestety konieczność zmiany planów i wybór innego celu. Wyprawa nie odbyłaby się, gdyby nie pomoc, którą Grzegorz i Jarek otrzymali – głównie od GBS Bank w Barlinku i burmistrza tego miasta. Zniżek na zakup sprzętu udzieliły Montano, HiMountain i Travellunch. Logistycznie wyprawę wsparła

wrocławska agencja Pamir, a merytorycznie Jan Kielkowski.

Marek Reganowicz samotnie na El Capitanie

Na przełomie września i października Marek Reganowicz przeszedł samotnie „The Shield” na El Capitanie. Droge zrobił dochodząc do Mamucich Tarasów wariantem „Free Blast”, ale mimo straty przez to jednego dnia wspinania i znacznie większego zużycia wody nie wycofał się po poręczówkach, tylko systematycznie szedł do góry. Na Grey Ledges przez jeden dzień przeczekiwał ulewny deszcz, a później musiał zwolnić wspinanie walcząc z mrozem i bardzo silnym wiatrem, który niespodziewanie na dłużej zawitał w Dolinie. Marek Reganowicz drogę zrobił bez użycia młotka do wy-



Marek Reganowicz

ciagu The Groove włącznie, który wycenił na C4. Począwszy od The Triple Cracks używał młotka, co nie zawsze w ewidentny sposób obniżało techniczne trudności drogi, ale zdecydowanie przyspieszało wspinanie. Przez ostatnie 4 dni w ścianie musiał racjonować żywność, aż w końcu została mu sama woda. Droga ma znikomą ilość przejść solowych i z reguły jest haczona już od Grey Ledges. Przejścia clean wyciągu The Groove zdarzają się bardzo rzadko (jedno z nich należy do Jacka Czyża). Była to trzecia droga Marka Reganowicza na El Capitane i tak jak poprzednie zrobiona solo oraz bez poręczowania.

Południowo-zachodnia grań Siguniang Shan (6250 m) zdobyta

W dniach 21-30 września Chad Kellogg i Dylan Johnson jako pierwsi przeszli południowo-zachodnią grań szczytu Siguniang Shan (6250 m) w Górach Quonglai w Chinach. Już samo dostanie się pod ścianę nie było łatwe – stromy las porzecznymi skałami kończy się na wysokości 4260 m. Pierwsze 17 wyciągów to system rys o trudnościach klasycznych dochodzących do 5.11 i hakowych A2 wymuszonych przez zalegający w rysach mech i trawę. Po około 600 metrach wychodzi się na piękną grań. Alpinisci na ścianie czołowej zaliczyli 3 biwaki, niestety na grani pogoda uległa pogorszeniu i dalsza wspinaczka przebiegała w mgle i śniegach. Trudności nie odpuszczały do końca (do M5) a widoczność momentami spadała do zera. Dotarcie do szczytu zajęło im kolejne kilka dni, dopiero 8 dnia wspinania o godzinie 16.35 alpinisci stanęli na szczycie. Jednak nie był to koniec przygody, bo czekało ich jeszcze kilkudziesięciogodzinne zejście w złych warunkach pogodowych i dopiero dziesiątego dnia akcji zeszli do doliny Changping, co wiązało się jeszcze z przekroczeniem wąskiego wąwozu na wysokości 4080 m. Bazę osiągnęli o 14.30. Johnson stracił ponad 13 kg wagi, Kellogg ponad 9 kg. Jako ciekawostkę można dodać, że Góry Quonglai stają się coraz popularniejsze wśród polskich wspinaczy, a i sam Siguniang Shan był celem kilku wypraw – niestety dotąd nie zrealizowanym.

Pierwsze wejście na Kang Nachugo (6735 m)

Joseph Puryear i David Gottlieb dokonali pierwszego wejścia na Kang Nachugo (6735 m) w Himalajach Rowling w Nepalu. Piramidalny szczyt na skraju Tybetu i Nepalu para wspinaczy zdobyła w alpejskim stylu w pięć dni. Jednak zanim

to się stało, spędzili 6 dni wędrując z miasteczka Shigati do osady w Dolinie Rowling na wysokości 4180 metrów, gdzie spędzili kolejny miesiąc. Pierwszą próbę wejścia na Kang Nachugo podjęli południową ścianą, niestety z powodu złych warunków pogodowych zmuszeni byli zawrócić 150 metrów przed szczytem. Kolejną próbę podjęli granią zachodnią – według nich w tych warunkach pogodowych bezpieczniejszą. Wystartowali 14 października. Początkowy fragment drogi wiódł 60° rynnami i trudnymi mikstowymi odcinkami, następnie przez kilka dni wspinali się ostrą granią, którą nazwali „Ostrze Khukuri”. Szczyt osiągnęli 17 października o godzinie 13.30, po czym zmęczeni i bez jedzenia zjechali południową ścianą.

Super tempo Ueli Steck

Ueli Steck w błyskawicznym tempie przesolował 28 grudnia drogę „Colton MacIntyre” na północnej ścianie Grandes Jorasses (4208 m). Dokonał tego w 2 godziny 21 minut i tym samym ustanowił nowy rekord ściany. Zważywszy, że droga ta wyceniana jest na ED2, W16, M6, jest to niesamowite tempo. W równie oszałamiającym czasie zdobył trzy sławne ściany północne w Alpach: Eiger, Matterhorn i Grandes Jorasses, ustanawiając na nich rekordy prędkości. Zrobienie „Drogi Klasycznej” (ED2) na Eigerze zajęło mu 2 godziny i 47 minut, natomiast pokonanie „Drogi braci Schmidt” na Matterhotnie (ED1) – 1 godzinę i 56 minut!

Nowa droga na Kwangde Shar (6093 m)

Ines Papert i Cory Richards zrobili nową drogę na północnej ścianie Kwangde Shar (6093 m) w Nepalu. Pierwotnie Ines chciała zdobyć szczyt w kobiecym zespole, wraz z Audrey Gariępy i Jen Olson. Dziewczyny rozpoczęły wspinaczkę 2 lutego, jednak po osiągnięciu 5850 m następnego dnia zespół zmuszony był zawrócić. Po tej próbie Audrey Gariępy i Jen Olson zdecydowały się na powrót do domu, natomiast Ines Papert wraz z Cory Richardsem (fotografem ekipy) postanowili podjąć jeszcze jedną próbę. 9 stycznia rozpoczęli wspinaczkę lewą częścią ściany i przez półtora dnia wspinali się dziewiczym terenem. Następnie połączyli się z francuską drogą „Extra Blue Sky” z 1996 roku (1200 m, ED2), a trzeciego dnia ponownie weszli w dziewiczy teren. Szczyt udało im się osiągnąć czwartego dnia, a powrót zajął im kolejne dwa dni. Zespół nazwał drogę „Cobra Norte” i wycenił na W15, M8, TD, R. Co więcej, był to himalajski debiut tego zespołu! Ines Paper należy do najlepiej

wspinających się w lodzie i miksie kobiet, próbkę jej możliwości mieliśmy okazję oglądać podczas ostatniego Festiwalu Filmów Górskich w Krakowie, którego była gościem.

Medal olimpijski dla ludzi gór

W wielkopolskiej prasie i telewizji lokalnej tuż po olimpiadzie pojawiły się ciekawe artykuły i reportaże o sukcesie polskiego filatelisty na Olimpiadzie w Pekinie, na wielkiej międzynarodowej wystawie „Olympex, the Olympic Expo Beijing 2008”. Odbędzie się ona w ramach tzw. konkursów kulturalnych towarzyszących Olimpiadom (kiedyś integralna część Olimpiad – K. Wierzyński zdobył złoty medal za „Dysk Olimpijski” w Paryżu w 1924 roku). Na pekińskiej olimpiadzie Mieczysław Rożek zdobył jedno z najwyższych wyróżnień – medal pozłacany za eksponat „Ku szczytom gór”.

Taternik: Jak to się stało, że znalazłeś się na Olimpiadzie?

Mieczysław Rożek: Cztery lata temu na Olimpiadzie w Atenach zdobyłem medal srebrny, oceniony na 75 pkt na 100 możliwych. Wynik dobry – stąd po czterech latach, po innych sukcesach w kraju, powrócono do tematu i władze PZF wyznaczyły mój eksponat, aby reprezentował Polskę w Pekinie wśród 6 innych zgłoszonych z Polski. Nasza skromna ekipa zdobyła 2 złote medale, 4 pozłacane i 1 srebrny (ekipa Włoch podobnie, przy 18 eksponatach).

T.: Jak wygląda przygotowanie eksponatu na Olimpiadę?

M.R.: Jest to mordercza praca, podobnie jak wysiłek każdego sportowca przygotowującego się do Igrzysk, z tą różnicą, że ja muszę zmagać się z innymi problemami niż trenujący sportowiec. Pracę rozpocząłem już w lutym, aby ze zbioru znaczków i wydawnictw pocztowych o tematyce górskiej, które zbieram już od 30 lat, wyodrębnić eksponat na wystawę w Pekinie.

Pierwszy krok to napisanie odpowiedniego eseju do tytułu „Ku szczytom gór”. Musi on odpowiedzieć precyzyjnie na temat, który następnie muszę zilustrować wydawnictwami pocztowymi – nie tylko znaczkami. Od tego momentu trwa praca nad stworzeniem kolejnych 80-ciu kart A4 w komputerze. Znaczki umieszczone na karcie wystawowej muszą mieć ramkę, aby ją miały trzeba je zmierzyć (są to tysiące zmierzonych znaczków), wprowadzić dane do komputera i w odpowiednim programie rozmieścić na całej karcie, a następnie umocować. Wszystko musi wyglądać nie tylko estetycznie,

ale także tematycznie i zgodnie z wymogami filatelistycznymi.

T.: Od jak dawna zbierasz znaczki?

M.R.: Te o tematyce górskiej zbieram od 33 lat. Przedtem byłem filatelista, który kolekcjonował wszystkie znaczki Polski i trochę tematycznie strzelectwo. Pierwszy eksponat powstał w 1981 r. Został pokazany na wystawie w Kielcach – był to medal brązowy, a obecnie jest to medal złoty, jaki zdobyłem w listopadzie na Ogólnopolskiej Wystawie Filatelistycznej we Wrocławiu (ranga mistrzostw Polski). Był to najlepszy eksponat w klasie tematycznej i dostałem gratulacje od jury.

T.: Czym jest dla Ciebie ten medal olimpijski?

M.R.: Myślę, że jest to spełnienie chłopięcych marzeń o medalu olimpijskim. Kiedyś wycynowo strzelałem z pistoletu w klubie WKS Grunwald. Przed Olimpiadą w Montrealu jako junior dorobiłem się dwóch kółek olimpijskich. Były wielkie nadzieje. Niestety, zadziałały systemy układowe w sporcie. Przejście z juniorów do seniorów było bolesnym zwrotem – musiałem opuścić klub strzelecki. Znalazłem sobie miejsce, w którym panowała swoboda i duch wolności – Klub Wysokogórski. Miłość do gór i rozstanie ze strzelectwem przypieczętowały to, że od 30 lat jestem członkiem KW Poznań, kolekcjonującym znaczki o górach. Dziś mogę powiedzieć, że medal mam, a więc spełniły się marzenia, a po drugie było to godne reprezentowanie zarówno Polski, jak i naszego górskiego środowiska w dalekim Pekinie.

T.: A jak w tym kontekście wygląda sprawa protestu, bojkotu igrzysk?

M.R.: Wielkie wyróżnienie, godne reprezentowanie Polski wśród kilkuset wystawców było ważniejsze niż wycofanie się i niewysyłanie eksponatu do Chin. Pozostałem w eksponacie znaczki wolnego niegdyś Tybetu – czym narażałem się na możliwość odrzucenia eksponatu przez organizatorów. Zdecydowałem się jednak pokazać te znaczki, bo sam wiem, co to znaczy dla Tybetańczyków, których walkę widziałem w Lhasie w 1987 roku w czasie mojej wyprawy rekonesansowej na przełęcz Lho La pod Mt. Everestem.

T.: Co możesz powiedzieć o medalu, czym różni się od tych wręczanych sportowcom?

M.R.: W tego typu imprezach jak „Olympic Expo Beijing 2008” medale mają inny wymiar, chociaż impreza działała pod patronatem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego i byłego przewodniczącego MKOL A. Samarancha. Medale w filatelistyce ze względu na olbrzymią konkurencję podzielone są na podgrupy. Mamy więc medale złote, pozłacane, srebrne, posrebrzane i brązowe. Następnie, spośród wszystkich złotych, w tajnym

głosowaniu jury wybiera trzy najlepsze eksponaty. Zwycięzcy otrzymują więc dodatkowo drugi medal. Zgodnie z kryterium punktacji, złoty medal to 90 pkt – ja otrzymałem ich w Pekinie 88. W porównaniu do Aten (75 pkt/100), jest to olbrzymi krok do przodu, co mnie osobiście najbardziej cieszy.

T.: A jak wygląda medal?

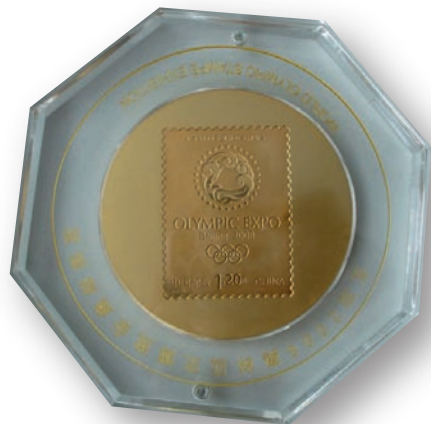
M.R.: Myślę, że zdjęcia przybliżą Czytelnikom jego wygląd. Jest w szklanej obudowie i waży prawie kilogram. Plakietka w środku medalu wykonana jest w formie znaczka pocztowego z 24-karatowego złota – niestety nie jest zbyt gruba. I nie dostajemy gratyfikacji – takich, jakie otrzymują sportowcy – złoci medaliści.

T.: Na zakończenie pytanie – czy w całym eksponacie pokazujesz tylko góry świata?

M.R.: Niestety, nie – wynika to z tego, że pisząc esej na zadany temat zaczynam prezentację od kosmosu i kształtowania planet, aby następnie przejść do pokazania zasad budowy kontynentów, tektoniki, geologii, zasad tworzenia gór i ich budowy.

Eksponat zawiera także informacje o pierwszych ludziach w górach (myśliwi i pasterze), o bogach, potworach i smokach, które zamieszkiwały świat gór, w którym dopiero później pojawił się człowiek. Opisuje początki alpinizmu, zasady wspinaczki, zagrożenie, bezpieczeństwo, ratownictwo, organizacje alpinistyczne, korespondencję z gór itd... Kończę na pokazaniu człowieka z flagą lub z gestem radości na szczycie góry.

T.: Życzę dalszych sukcesów olimpijskich i dziękuję za wywiad.



Spraw, aby nasze skały stały się bardziej nasze!

Przełącz 1% swojego podatku dochodowego Naszym Skałom!

Inicjatywa Środowisk Wspinaczkowych „Nasze Skały” powstała w marcu 2008 roku i już mocno wpisała się w krajobraz polskiego wspinania. Dzięki jej działalności możecie się nadal wspinać w Mirowie, na Górze Birów i Psiklatce; w sprawie udostępnienia wielu kolejnych rejonów trwają rozmowy. Jediną formą finansowania Inicjatywy są darowizny i odpisy podatkowe przekazywane Fundacji Wspierania Alpinizmu Polskiego im. Jerzego Kukuczki.

Jeśli chcesz, by część Twojego podatku dochodowego została wykorzystana na rzecz wszystkich polskich wspinaczy, przełącz 1% „Naszym Skałom”. W tym roku to proste. Każdy rodzaj formularza rocznego zeznania podatkowego za 2008 rok ma odpowiednie rubryki ułatwiające darowiznę.

W swojej deklaracji PIT:

W dziale „Wnioski o przekazanie 1% podatku należnego na rzecz organizacji pożytku publicznego (OPP)”, w rubryce „Nazwa OPP” wpisz: **Fundacja Wspierania Alpinizmu Polskiego im. Jerzego Kukuczki**,

w rubryce „Numer KRS” – **KRS 0000084062**,

w rubryce „Wnioskowana kwota” – **obliczony 1% podatku należnego** (pamiętaj o zaokrągleniu do pełnych dziesiątek groszy w dół),

w dziale „Informacje uzupełniające” w rubryce „Cel szczegółowy 1%” – **Nasze Skały**.

PS Jeśli przekonał Cię, że w dobrym celu wydamy Twoją darowiznę – może zechcesz przekonać do podobnego, dobrego uczynku Twoją rodzinę, przyjaciół, znajomych – podaj im powyższe informacje.



TATERNIK

Cennik reklam

	Okładka 4 strona	Okładka 3 strona	Strona wewnątrz numeru
Cała strona kolorowa (B5)	1200 zł	800 zł	600 zł
Cała strona cz.-biała (B5)	-	-	500 zł
¼ strony kolorowej	-	500 zł	400 zł
¼ strony cz.-białej	-	-	300 zł
¼ strony kolorowej	-	-	250 zł
¼ strony cz.-białej	-	-	150 zł
Logo firmy (do 20 cm²)	-	-	100 zł
Logo firmy (20-40 cm²)	-	-	150 zł



Jak w mijającym roku nasze skały stały się trochę bardziej nasze

Mariusz „bieDruń” Biedrzycki

Rok 2008 się zakończył, a zatem chciałbym, jako pomysłodawca, podsumować pierwszy okres działalności Inicjatywy Środowisk Wspinaczkowych „Nasze Skały”. Przypomnę, że 25 marca 2008 roku na spotkaniu w siedzibie KW Kraków ukonstytuowała się pracująca społecznie Rada „Naszych Skał”, grupująca najważniejsze organizacje i media środowiskowe oraz specjalistów ochrony przyrody i prawa nieruchomości. Radę utworzyli poza mną Piotr Drobot (Komisja Skalna PZA – na spotkaniu Rady Piotra reprezentował wiceprezes PZA, Piotr Xięski, który od 28 sierpnia zastąpił go w Radzie na stałe), Jacek Rządowski (Fundacja im. J. Kukuczki), Piotr Drożdż („GÓRY”), Jacek Trzemzański („Magazyn Górski”), Wojciech Słowakiewicz (wspinanie.pl), Miłosz Jodłowski (pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego) oraz Irek Grochocki (prawnik). Dnia 1 lipca, spośród kilku kandydatów, z którymi prowadzono rozmowy, Rada wybrała w głosowaniu Włodzimierza Porębskiego na dyrektora operacyjnego Inicjatywy. Od tego czasu wiele koordynowanych samodzielnie przez członków Rady spraw ruszyło pełną parą. Trudno však pewne rzeczy doprowadzić do końca, jeśli są one robione „z doskoku”, w czasie wolnym od zawodowych obowiązków lub, tak jak w moim przypadku, w połowie roku – ze szpitala.

Na szczęście okres partyzancki szybko się zakończył i w drugim półroczu Włodek stał się przedstawicielem środowisk wspinaczkowych w rozmowach ze służbami ochrony przyrody, z władzami gmin oraz właścicielami nieruchomości, na terenie których, znajdują się skały. Rozmawialiśmy również z naszymi obecnymi (PZA i Fundacja im. Kukuczki) oraz potencjalnymi (właściciele firm z branży outdoor) sponsorami i z mediami. Wyemitowany został jeden reportaż telewizyjny o IŚW NS, dwa wywiady radiowe oraz ukazało się kilka artykułów i notek prasowych. Spotykaliśmy się także z wieloma, szeroko pojętymi, interesariuszami, w tym z politykami. Rada oczywiście służyła dyrektorowi swoim wsparciem merytorycznym praktycznie we wszystkich przedsięwzięciach, a o skali zaan-

gażowania świadczy fakt, że poza comiesięcznymi telekonferencjami, każdy z członków Rady przepracował na rzecz „Naszych Skał” od kilkudziesięciu do kilkuset godzin.

„Nasze Skały” zostały powołane przede wszystkim w celu zagwarantowania dostępu do rejonów wspinaczkowych na terenie Polski. Przechodząc do konkretów: przywrócony został dostęp do jednego zamkniętego uprzednio rejonu wspinaczkowego (Psiklatka), w dwóch innych rejonach zagrożonych zamknięciem (Grzęda Mirowska i Góra Birów) ustalono satysfakcjonujące wszystkie strony zasady wspinania, nawiązano kontakty z prawie wszystkimi najważniejszymi decydentami w sprawie ochrony przyrody w miejscach, gdzie znajdują się rejonu wspinaczkowe (konserwatorzy przyrody w województwach: śląskim, małopolskim i podkarpackim oraz dyrekcje Karkonoskiego i Ojcowskiego Parku Narodowego oraz Parku Narodowego Gór Stołowych). Są to żmudne negocjacje i przedwczesnie byłoby ogłaszać ich zakończenie, ale mamy nadzieję, że w wyniku naszych rozmów w przyszłym roku ulegnie zmianie status zamkniętych obecnie dla wspinania Śnieżnych Kotłów, wielu eksplorowanych w przeszłości ścian w Parku Narodowym Gór Stołowych, Łaskawka, Wąwozu Mniokowskiego, Przelomu Białki czy Prząddek.

W powyższym kontekście ponieśliśmy w minionym roku dwie porażki. Mimo negocjacji i przekonania opata, Rada klasztoru w Tyńcu nie wyraziła zgody na powrót wspinaczy na skały przyklasztorne, gdzie wytyczono ponad dwadzieścia dróg. Mamy jednak nadzieję na zmianę tej decyzji w przyszłości. Straciliśmy też możliwość wspinania na jednym z ostańców – właściciel terenu zażądał usunięcia wszystkich stałych przelotów, a także ogrodził teren i wywiesił tablice: „Teren prywatny, wstęp wzbroniony”. Ponieważ o drogach w tym miejscu wiedzieli do tej pory tylko nieliczni eksploratorzy, celowo nie podaję nazwy ostańca, aby nie prowokować niepotrzebnej eskalacji sporu. Częściową porażką jest również dalsza działalność „Gówniarza” na Fiali i Wzgórzu 502. Wprawdzie przygotowaliśmy w imieniu „Naszych Skał” i KW Kraków formalne zawiadomienie do prokuratury,

ale po konsultacjach z władzami i mieszkańcami gminy Jerzmanowice-Przebinia, postanowiliśmy poczekać z uruchomieniem policyjno-sądowej maszyny do wiosny, bo być może presja sąsiedzka wystarczy, żeby powstrzymać działalność tego, posadzanego o częściową niepoczytalność, osobnika.

„Nasze Skały” zaangażowały się również w dwa rodzaje aktywności, które zamierzamy rozwinąć w kolejnych latach. Chodzi o sprzątanie rejonów wspinaczkowych i tzw. interwencyjną wymianę i uzupełnianie asekuracji. We wrześniu sprzątailiśmy Sokoliki, a w październiku Zakrzówek. Wolumen i waga zebranych śmieci niestety dowiodły, że trzeba takie akcje powtarzać najczęściej jak to możliwe. Co do drugiego obszaru aktywności, to w porozumieniu z Komisją Skalną PZA ekipy uzupełniały asekurację w Mirowie i na Górze Birów. Był to efekt zobowiązań podjętych przez „Nasze Skały” podczas negocjacji dotyczących zasad użytkowania wspinaczkowego tych rejonów. Usunięcie „samoróbek” i wymiana ich na atestowane przeloty i stanowiska stanowił istotny element zawartych porozumień. Natomiast w wyniku otrzymania darowizny celowej od firmy IBM uzupełniono asekurację w Dolinie Kobylańskiej (wybór tej doliny był sugestią darczyńcy), a „Nasze Skały” dzięki temu sfinansowały ringi, które zostały osadzone w górnej części doliny w ramach kursu ekipierów PZA.

Ubezpieczanie dróg to tylko wierzchołek góry lodowej, jeśli chodzi o braki infrastrukturalne w naszych rejonach wspinaczkowych. Brakuje zatoczek parkingowych, wzmocnionych ścieżek podejściowych czy tablic informacyjnych, by podać najczęściej spotykane przykłady zagospodarowania skałek w krajach o wyższym standardzie życia. Nie mamy złudzeń: bez współpracy z gminami i bez pozyskania funduszy publicznych, w tym infrastrukturalnych funduszy UE (o rządach wielkości znacznie większych niż te, którymi obecnie dysponujemy) nie będziemy w stanie rozpocząć powyższych inwestycji. Aby zapoczątkować procesy, które, mamy nadzieję, ruszą w kolejnych latach, dyrektor operacyjny „Naszych Skał” uczestniczył w szkoleniu dotyczącym pozyskiwania środków infrastrukturalnych, ponadto podjęliśmy wstępne rozmowy z firmami, które zajmują się doradztwem w przygotowaniu wniosków o dofinansowanie unijne.

W ten sposób dochodzimy do kłopotliwego tematu pieniędzy. Dzięki bezprecedensowej (w skali ostatnich lat) ofiarności darczyńców, przekazujących 1 procent podatku dochodowego na rzecz Fundacji im. Kukuczki oraz wsparciu PZA, przeznaczonemu na finansowanie „Naszych Skał”,

zanim Fundacja zakończyła rozdzielanie wpłat pochodzących z akcji 1%, udało się zapewnić finansowanie Inicjatywy do końca pierwszego kwartału przyszłego roku. Niestety, potrzeby w przyszłym roku będą znacznie większe niż w obecnym. Poza ponoszonymi już kosztami zatrudnienia dyrektora operacyjnego oraz kosztami prawie codziennych podróży służbowych po południowej Polsce, czekają nas niemałe koszty ekspertyz przyrodniczych (związanych z uwagami do projektów kilkudziesięciu szczegółowych planów ochrony przyrody, które będą obowiązywać przez najbliższe 20 lat), koszty obsługi prawnej (przewidujemy konieczność uczestnictwa w kilku procesach sądowych, m.in. w sprawie groźby skałek niebędących własnością groźącego) oraz wydatki związane z uzyskaniem map własnościowych i odpisów sądowych, które posłużą nam do ustalenia rzeczywistych właścicieli skał.

Chciałbym w tym miejscu przypomnieć, że nie tylko podczas składania PIT-a można wspomóc „Nasze Skały”. Można również odliczyć do 6% dochodu w przypadku osób fizycznych i do 10% podstawy opodatkowania w przypadku firm. Te pieniądze będą nam bardzo potrzebne, żeby nasze skały stały się jeszcze bardziej nasze!

Może nie musiałbym apelować o wpłaty, gdyby branża sportów przestrzennych wspierała „Nasze Skały”, tak jak się to dzieje w przypadku podobnych organizacji działających w innych krajach. Wszak Access Fund ma od początku swojego „złotego sponsora” w postaci firmy Patagonia, a Salewa od wielu lat dotuje IG Klettern. Projektując zasady działania „Naszych Skał”, w tym budżet Inicjatywy, miałem nadzieję, że podobnie będzie w Polsce. Niestety boleśnie przekonałem się (bowiem wraz z dyrektorem operacyjnym „Naszych Skał” uczestniczyłem w ostatnim czasie w spotkaniach z większością wiodących firm branży outdoor, działających na polskim rynku), że na razie społeczna odpowiedzialność biznesu jest pustym sloganem, a roczny budżet sponsorski, równy emisji jednej minuty reklamy telewizyjnej (powiedzmy w najbliższy poniedziałek pomiędzy godziną 19.00 a 23.00) jawi się w opowieści właścicieli czy menedżerów tych firm jako suma przewyższająca wszystkie ich zyski liczone od początku działalności. To bardzo smutne, bo wspinacze są najpoważniejszym odbiorcą „technicznych” produktów, obecnych w polskich sklepach, które można sprzedać z najwyższą marżą, a praktycznie każdy, kto uprawia jedną z wielu dziedzin naszego sportu, częściej lub rzadziej wspinają się w polskich skałkach i górach. Jeśli najbliższe rejonu do rekreacyjnego wspinu będą znajdowały się nie na Jurze, w Sokolikach,

w Tatrach czy w okolicach Krosna, tylko na Słowacji, pod Wiedniem czy na Frankenjurze, branża żyjąca ze wspinaczy po prostu zniknie, bo w pobliżu wszystkich tych miejsc znajdują się świetnie zaopatrzone i przede wszystkim tańsze niż w Polsce sklepy ze sprzętem.

Być może przyczyna dystansu branży outdoorowej wobec współfinansowania „Naszych Skał” bierze się z mimo wszystko bardzo krótkiego czasu, jaki minął od powołania Inicjatywy Środowisk Wspinaczkowych. To fakt, że w porównaniu do 19-letniego okresu działalności zarówno Access Fund, jak i IG Klettern, jesteśmy nowicjuszami. Dlatego daję sobie jeszcze kilka miesięcy na przekonanie co najmniej kilku firm, że finansowe wsparcie Inicjatywy to nie tylko działanie konkurujące w budżecie marketingowym z wykupieniem kilku billboardów, ale i społeczna powinność wobec najważniejszej grupy klientów. Realne ryzyko utraty dostępu do wielu rejonów wspinaczkowych jest w stuletniej historii eksploracji polskich skałek porównywalne chyba tylko ze znacznym ograniczeniem dostępu do tatrzańskich ścian, jakie

miało miejsce w szczycie stalinizmu. Na szczęście to zagrożenie dostrzegli placacy podatki wspinacze, masowo zasilając Fundację im. Kukuczki odpisami 1%. Liczymy na odpowiednie wpisy w PIT-ach również podczas nadchodzącej wiosny, a także na darowizny, o których pisałem powyżej. Zróbmy wszystko, żeby nasze skały były ponownie i trwale nasze!

*Mariusz Biedrzycki
Przewodniczący Rady
Inicjatywy Środowisk Wspinaczkowych
„Nasze Skały”*

Darowizny:

Fundacja Wspierania Alpinizmu Polskiego
im. Jerzego Kukuczki
ul. Noakowskiego 10/12
00-666 Warszawa
KRS nr 0000084062
Bank Millennium
04 1160 2202 0000 0000 5515 5611
z dopiskiem „Nasze Skały”



Hagengebirge 2008

Radosław Paternoga

W 2007 roku zegnaliśmy masyw, pozostawiając w nim dwa otwarte problemy eksploracyjne. Höhle in Roten Steinen (Jaskinia w Czerwonych Kamieniach) była już jaskinią głęboką, a co istotne – im głębszą, tym trudniejszą. Zdawaliśmy więc sobie sprawę, że znalezienie dalszej drogi będzie bardzo uciążliwe i wymagające. Z biwaku na głębokości -592 m przydenne czeluści były sprawdzane przez trzy trzyosobowe zespoły. Mimo wielkiego zaangażowania i ogromnego wysiłku, udało się odkryć zaledwie kilkanaście metrów ciągów, które zresztą wcale nie pogłębiały jaskini. Poświęciliśmy jej dużo pracy, zaś efekty były niewielkie. Warto więc zastanowić się co dalej? Niektórzy twierdzą, że warto wrócić w okolice dna. Pewną szansę na znalezienie drogi do nowych partii dają boczne ciągi odchodzące na poziomach -260 oraz -570. Nie ma jednak wątpliwości, że skończył się pewien istotny okres eksploracji tej jaskini. Po korekcie zeszlorczonej pomiarów nieco nam się ona „spłyciła”. Czego by jednak nie powiedzieć, jest głęboka na 855,3 m (przy 1558 długości). Höhle in Roten Steinen jest drugą co do głębokości (po Jägerbrunntroghöhle) jaskinią masywu Hagengebirge.

Kolejną jaskinią pozostawioną w 2007 roku z otwartym problemem była Respektschacht. W tym roku eksplorację rozpoczęliśmy od dna 94-metrowej studni na poziomie -190. Po kilku zjazdach natrafiłmy na zawalisko blokujące możliwość obejścia. Próby szukania alternatywnych ciągów również nie dały oczekiwanego rezultatu. Tak nadszedł czas, żeby pożegnać się z tą ciekawą jaskinią. Jej dane morfometryczne to: długość 418 m i głębokość 256 m.

W poprzednich latach mieliśmy rozbite namioty w centralnym miejscu naszego rejonu, a zespoły opuszczające bazę rozchodziły się na wszystkie kierunki świata. Z czasem teren wokół bazy został bardzo dobrze poznany. Dla nas zaś, otulonych od zachodu granicą z Niemcami oraz graniami Kahlersbergu i Windschartenkopf, jedyną szansą na szukanie celu było podążanie na południowy wschód w stronę centrum wielkiego plateau Ha-

gengebirge. Za trudną ze względu na możliwość poszukiwania jaskiń, szeroką depresją opadającą w kierunku Bluntau, natrafiłmy na interesujący rejon. Właśnie tam udało nam się odkryć Höhle in Roten Steinen i Respektschacht. Niestety, pewną przeszkodą okazała się odległość od bazy. Dlatego od 2006 roku celowe okazało się organizowanie w tym rejonie baz wysuniętych. W 2008 roku w tej części odkryliśmy kilka interesujących otworów. Najwięcej działalności powierzchniowej prowadziliśmy w okolicach Respektschacht. Rezultatem było odkrycie kilku ciekawych pionowych jaskiń, w tym najbardziej obiecującej – Krainy Deszczowców (Land der Regenmenschen).

W pewnym sensie zaprzeczeniem tezy o konieczności zapuszczenia się daleko jest odkrycie ciekawej jaskini stosunkowo niedaleko od bazy, blisko ścieżki prowadzącej do naszych najważniejszych jaskiń. Jaskinię Ciekawą (tak ją roboczo nazwaliśmy), pozostawiliśmy na koniec poprzedniej wyprawy jako trzydziestometrową studzienkę wejściową. Na jej dnie znajdowały się typowe problemy charakterystyczne dla przyotworowych partii: śnieg, lód, wilgoć, ciasnota, silne przewiewy, zablokowanie kamieniami. W tym roku udało się przejść meander, za nim zaś napotkaliśmy na ciąg studni, sprowadzający na poziom -150 m. Tam, ku naszej radości, natrafiłmy na wejście do poziomego, obszernego korytarza. Na razie zbyt mało mamy danych, by snuć odważne teorie na temat perspektyw przebiegu tych ciągów. Wolimy poczekać do wyprawy w 2009 roku.

W wyprawie „Hagengebirge 2008” zorganizowanej przez Sekcję Grotołazów Wrocław i Sopocki Klub Tatarnictwa Jaskiniowego udział wzięli: Marek Wierzbowski – kierownik, Grzegorz Jabłoński, Mirosław Kopertowski, Rafał Mateja, Oliwia Ryśnik (wszyscy Sekcja Grotołazów Wrocław), Dariusz Bartoszewski, Anna Nawrocka, Radosław Paternoga, Jarosław Wrzesień (Sopocki Klub Tatarnictwa Jaskiniowego), Agnieszka Góralska, Beata Michalak, Jakub Saloni, Lech Saloni (Speleoklub Warszawski), Maciej Dziurka (Rudzki Klub Grotołazów Nocek).

Za wsparcie wyprawy dziękujemy Polskiemu Związkowi Alpinizmu oraz hurtowni „Fatra”.



Błękitnooka tatarniczka – Marzena Skotnicówna

(11 X 1911 – 6 X 1929)

M. B. Bednarz

Była córką Marii Skotnicowej i Józefa, który uczył młodzież rzeźby w zakopiańskiej Szkole Przemysłu Drzewnego. Z urodzenia zakopiańska, panna urodziwa. Zapamiętana jako dziewczyna z burzą bujnych złotych loków. Marzena miała ciekawą toń oczu, przepastny i tęskny błękit, który patrzących w nie zastanawiał... Jej profil był wydatnie zarysowany, a smukła figura nadawała powab całej sylwetce. Była kobietą w stylu retro. Z pasją tańczyła i uprawiała wspinaczkę. Miała też literacki talent, który zauważył u niej poeta Julian Przyboś. Marzena była jego muza i miłością niespełnioną.

Jej ambicją była zupełna kobieca samodzielność i niewątpliwie była ona pionierką w tej dziedzinie wspinaczki wysokogórskiej. Szybko opanowała techniki wspinaczkowe i chodziła na trudne wyprawy. Skotnicówna zabierała w Tatry swoją siostrę Lidę i inną tatarniczkę, Zosię Galicównę. Ci, którzy zapamiętali jej wspinaczki należeli do grupy „Syfonów”. Byli to tatarnicy: Bronisław Czech, Jerzy Ustupski, Antoni Kenar, Aleksander Stanecki, Justyn Wojsznis, Józef Wójcik, Wiesław Stanisławski, Alfred i Jan Alfred Szczepańscy, Jan Kazimierz Dorawski. Marzena przyjaźniła się też z artystą Mietkiem Szczuką, który był zakochany w dziewczynie. Ona jednak wybrała i kochała Tatry. Góry stały się jej żywiołem i pasją!

Pomimo, że miała wielu gorących wielbicieli, dziewczyna żyła Tatrami: „Tatry są mną i ja jestem nimi” – zwykła była mawiać. I, choć idealistka, wywierała duży wpływ na środowisko tatarnicze. Porywała sobą. Miała jakiś szczególnie magnetyzm, który stale przybierał na sile... Jednak ten żywiołowy temperament Skotnicówny nie potrafił odnaleźć się w ustabilizowanym życiu. Ją pociągał żywioł,

ryzyko, niebezpieczeństwo... Dlatego planowała nowe pionierskie przejścia w Tatrach i żyła tym na co dzień.

Marzena zamierzała utworzyć związek polskich tatarniczek, gdyż wierzyła, że samodzielnie mogą one wspinać się w Tatrach. Pragnęła, aby pleć kobieca znalazła swoje miejsce w historii tatarnictwa, a co za tym idzie, w literaturze o tej tematyce. Miała więc, jak widać, wysokie aspiracje, bowiem wierzyła w równość obu płci, w możliwość pokonania własnych ograniczeń i przeciwności wspinaczki górskiej. Latem 1928 r. Marzena Skotnicówna przeszła drogi bardzo trudne – pokonała Galerię Gankową północno-zachodnią ścianą z Wiesławem Stanisławskim oraz południową ścianę Małego Lodowego Szczytu z Tadeuszem Brzozą. Następnie, jako pionierka samodzielnego tatarnictwa kobiet, wspinała się dużo z siostrą Lidą. Sezon letni 1929 r. obfitował w wiele jej wypraw. I tak, Marzena chodziła na wspinaczki z Zosią Galicówną. To właśnie z nią dokonała pierwszego przejścia północno-zachodniej ściany Kozich Czub. Miała też pierwsze przejście północnej ściany Małego Ostrego Szczytu, pokonała północno-zachodnią ścianę Ponad Kocioł Turni, a z Lidą, północno-zachodnią ścianę Mnicha.

Po ukończeniu szkoły w Cieszynie i definitywnym rozstaniu z Przybosiem, młoda Skotnicówna powróciła do Zakopanego. Zaczęła się ukradkiem wymykać razem z Lidą w Tatry. Pomimo obaw swej matki, obie udały się na ostatnią już wspinaczkę 6 X 1929 r., chcąc wspinać się południową ścianą Zamarłej Turni. Siostry zginęły tragicznie, zapisując się trwale w dziejach historii tatarnictwa.



Zbyszek Jurkowski (1937-2008)

Napisałam kiedyś w opowiadaniu o Druciarzu – „Byliśmy wtedy piękni i młodzi. Pokolenie urodzone przed wojną albo podczas wojny”. Napisałam, że przyjeżdżaliśmy

na obchody 1-go listopada w skałki, bo nie mieliśmy „swoich grobów”. A teraz mamy już „swoje groby” i zaczynamy odchodzić na tamtą stronę. Dostajemy i wysyłamy e-maile, rozmawiamy, patrząc na siebie na ekranach komputerów, wspominamy to, co pamiętamy i to czego nie pamiętamy albo chcielibyśmy zapomnieć. A może to nie było tak, a może jednak było ...

Mieszkam już od ponad 27 lat po drugiej stronie Atlantyku. Nie ma mnie w Polsce, gdy odchodzimy, nie mogę przyjść na pogrzeby, nie mogę położyć kwiatów ani zapalić zniczy. Mogę tylko pomyśleć i powspominać – jacy byliśmy wtedy...

O odejściu Zbyszka Jurkowskiego dowiedziałam się z e-maila, przysłanego przez Martę Szymanowską (primo voto Paczkowska) i natychmiast odbyłam podróż w czasie.

Był rok 1959, a ja byłam kursantką w Betlejemce. Był to początek mojej górskiej przygody, która trwa do dziś. Byłam naiwna i przestraszona. Moim instruktorem był Andrzej „Negro” Sławiński. Wspinaliśmy się w pionierkach i trampkach, z szalowymi linami i ciężkim sprzętem wspinaczkowym. Tam po raz pierwszy usłyszałam o „Wariancie R” na Mnichu. Już sama nazwa otoczona była aureolą, a ja naiwnie zastanawiałam się, gdzie są te inne



Marek Piestrak (po lewej) i Zbyszek Jurkowski (po prawej) (1953 r.) na trasie z Osielca do schroniska w Markowych Szczawinach (Beskid Żywiecki). Zbyszek był na kursie w Betlejemce w 1954 r.

warianty, od A do P. Słyszało się nazwiska Jurkowski-Nowacki albo Nowacki-Jurkowski, przybywało szczegółów, okazało się, że zrobili trzecie przejście słynnego wariantu, a że pierwsze miało miejsce w 1955 r. to aureola powiększała się coraz bardziej. Cała Betlejemka była podekscytowana, kursanci może nawet bardziej niż instruktorzy, którym wymknęło się to „trzecie”. Nam, czyli kursantom nic się nie wymknęło, a na pewno nie w momencie, kiedy przejście „100-tki”, czy „Filara Koziego” uważaliśmy za sukces. Potem na Hali zjawiał się zwycięski zespół i w Betlejemce zrobił się ruch i hałas, gratulacje i toasty, klepanie po plecach i pierwsze szybkie rozmowy. Bohaterowie nie przyszli sami, był z nimi „Kiszkan” (Jan Surdel) i inni, którzy też mogliby przejść ten WARIANT, ale jeszcze tego nie zrobili.

Wieczorem temperatura świętowania zwycięstwa zbliżała się już do „temperatury wrzenia”. Usłyszałam hasło „Gornaja Indyjka” i dowiedziałam się, że należy jej szukać, bo ona na pewno tu jest, tylko nie wiadomo gdzie i dlaczego. Na pytanie – co to jest „Gornaja Indyjka”? – usłyszałam coś o Palancie, Kiszkanie, Kaukazie i Pticy. Nikt nie miał czasu na wyjaśnienia, wtajemniczeni wiedzieli, a kursanci się nie liczyli. Poszukiwania trwały, cała Betlejemka została przewrócona „do góry nogami”, a towarzystwo miało, delikatnie mówiąc – lekko w czubie. Siedziałam na łóżku i patrzyłam okrągłymi oczyma na świat, który wtedy nie był jeszcze moim światem. Ktoś rzucił hasło, że Ptica na pewno schowała się pod łóżkiem i cała grupa młodych i dzielnych, łącznie z Jurkowskim i Nowackim, wczłogała się pod łóżko. Szał poszukiwań trwał, zaśmiewaliśmy się do łez, aż wreszcie ktoś wyczołgał się z trudem i oświadczył, że „Gornaja Indyjka” była, ale już poszła w góry! Nie wiem, czy wiernie oddałam zdarzenia i nastroj tamtego dnia – ALE NAWET JEŻELI TO NIE BYŁO TAK, TO JA TO TAK PAMIĘTAM.

Wkrótce cały ten świat, Palanta i Pticy, „Wariantu R” i Mnicha, stał się moim światem. Zbyszek



Zbyszek przed starym schroniskiem w Morskim Oku (1961 r.)

spotykałam w górach i w Warszawie. Nawet nieźle Go znalazłam, chociaż nigdy się z nim nie wspinałam. Jednak jego przejście „Wariantu R” i „Gornaja Indyjka” pozostały ze mną.

PS. Kilka lat później, kiedy Palant odszedł już na drugą stronę granic, w „Kominie Pokutników” (Iskry, Warszawa 1964) przeczytałam opowiada-



Tadeusz Orłowski (1917-2008)

Profesor Orłowski był już, kiedy my dopiero wchodziliśmy w Tatry. Nam przybywało lat, a jego drogi się nie starzały i kolejne pokolenia wiązały się pod nimi z emocją

i respektem. Dla nas, 70- i 80-latków stanowił duchową podporę – skoro można w wieku 90 lat cieszyć się taką formą intelektualną (z fizyczną było nieco słabiej), może i nam uda się bez alzheimera osiągnąć tak pogodnej starości? Niestety, nie ma już Profesora, a upływ czasu nas przesuwają ku pozycjom nesterów.

Tadeusz Orłowski urodził się 17 września 1917 roku w Kazaniu, gdzie jego ojciec Witold był w latach 1907-1919 nauczycielem akademickim. Szkołę średnią ukończył w kraju i po maturze zapisał się – zgodnie z tradycją rodzinną – na Wydział Medyczny UJP w Warszawie. Dyplom lekarza otrzymał w roku 1943 na tymże wydziale, już jednak tajnego Uniwersytetu Warszawskiego. Zawodowo związał się z macierzystą uczelnią i szybko piął się po stopniach naukowej drabiny: 1945-48 – st. asystent, 1948-52 – adiunkt, 1952-62 – docent i od 1962 – profesor. Lata 1954-55 spędził w Korei Północnej, gdzie kierował szpitalem PCK w miejscowości Hamhyng, w okresie późniejszym (1957-1963) odbył kilka staży naukowych za granicą. W roku 1964 objął kierownictwo I Kliniki Chorób Wewnętrznych AM w Warszawie, od 1975 był dyrektorem Instytutu Transplantologii. Wspecjalizował się w nefrologii, w której stał się światowym autorytetem, jako pedagog wychował kilka generacji specjalistów w tej dziedzinie. Był twórcą polskiej sztucznej nerki i – wraz z prof. Janem Niełubowiczem – ojcem naszej transplantologii klinicznej. Udzielał się w wielu światowych organizacjach, od roku 1964 był członkiem PAN, w 1971 roku Prezes Rady Ministrów powołał go na stanowisko I zastępcy sekretarza naukowego tej instytucji. Opublikował

nie pt. „Śladami Górnej Indyjki”. Palant napisał, że: „Gornaja Indyjka je trawę i kamienie, plata niesamowite psoty i wałęsa się tam, gdzie żaden porządny ptak nigdy by tego nie zrobił”. Jeżeli tak, to może ona jednak była wtedy w Betlejemce.

Krystyna Konopka

ok. 300 prac z dziedziny chorób wewnętrznych, głównie z patofizjologii i terapii schorzeń nerek, przez wiele lat redagował „Polskie Archiwum Medycyny Wewnętrznej”, nb. założone przez jego ojca. W nekrologu Prezydium PAN napisano: „Jeden z najwybitniejszych polskich lekarzy i uczonych, pionier polskiej transplantologii i dializoterapii. (...) Kierowany przez Niego zespół wprowadził do terapii w Polsce dializy i przeszczepianie nerek, które uratowały życie wielu chorym.” Zaslugi Profesora uhonorowano licznymi tytułami i najwyższymi odznaczeniami w kraju i za granicą.

Wcześniej od kariery naukowej zaczęła się jego równie błyskotliwa kariera sportowa. Już „Taternik” z lat 1936-37 odnotowuje jego I wejście zimowe na Przełęcz nad Wrotami (24 III) i II wejście zimowe na Zadniego Mnicha (4 IV). W późniejszych latach zima nie była jego żywiołem. Słoneczny 30 lipca 1937 rok przyniósł I wejście zachodnią grzędą Niżnich Rysów, 1 sierpnia nowe warianty w Granii Apostołów. „Górska maturę” zdał jako towarzysz ostatniej wspinaczki Dawida Milechmana, zakończonej jego śmiercią 11 lipca 1937 roku na progu Dolinki za Mnichem. 27 września 1938 roku przeszedł osławiony Komin Drege’a – asekurowany przez Wandę Henisz-Kamińską i Zofię Radwańską-Kuleszynę (-Paryską). W powietrzu wisi już wojna, kiedy 30 lipca i 3 sierpnia 1939 wraz z Włodzimierzem Gosławskim dokonał wejścia środkiem Galerii Gankowej – droga, w której według Ivana Dieški „vrcholí celá predvojnová tatranská horolezecká činnost”. Jej pierwszych 20 powtórzeń zestawili w „Krásach Slovenska” Ivan Urbanovič, współautor I zimowego przejścia drogi (3-4 III 1959). Do KW PTT został przyjęty w styczniu 1937 roku, w poczet członków zwyczajnych przeniesiono go w początku 1939 roku. Z dniem 12 marca 1939 wszedł w skład Zarządu KW. Wśród przyjaciół zwany był „Stolikiem”.

Lata wojny utrudniły kontakt z Tatrami ale go, paradoksalnie, nie osłabiły – w górach nadal bywał po kilka razy w roku. „Taternik” wlicza nowe drogi i warianty z tego okresu, Wanda Henisz-Kamińska wspomina wojenny miesiąc spędzony ze Stolikiem i innymi kolegami, wśród nich Stanisławem Braunem, w „Murowańcu”, w którym zajmowali na pię-

trze największą z sal. Chodzili wtedy w szerokim promieniu, głównie powtarzając drogi Stanisławskiego. Tadeusz Orłowski równolegle znajdował czas na studia i na działalność w podziemnym KW, w którym z Justynem Wojszniszem dzielił obowiązki prezesa. Jednak z lat wojny pamiętamy Orłowskiego nie tyle jako wspinacza, lecz jako twórcę podziemnego „Taternika”. Zredagował pięć okazałych zeszytów, swoje teksty sygnował podpisem St. (Stolik) lub S.W. (Stolik Wyżni). W pracy pomagali mu Wojsznisz, Żuławski (obaj jako członkowie Komitetu Redakcyjnego), bracia Mierzejewscy (druk okładek), setki zdjęć powlekała Wanda Henisz-Kamińska, od której odbierał je Bernadzikiewicz. W „Wierchach” z 1948 roku misję tę Stanisław Siedlecki ocenił tymi słowami: „Sądzę, że trudno przecenić wartość tego wyczynu jakim było dla życia taternictwa polskiego poprowadzenie redakcji >>Taternika<< w czasach okupacji. (...) Jego apolityczny charakter, jego styl redakcyjny (...), jego zakres zainteresowań (...) są chyba jednym z najlepszymi świadectw tego, że w tych ciężkich czasach życia w Polsce nie zostało zdeptane.”

W konspiracji Tadeusz Orłowski używał tatrzańskiego pseudonimu „Spaga”, występował też jako „Justyn” i „Dr Justyn”. Wymienia go tom V „Wielkiej Ilustrowanej Encyklopedii Powstania Warszawskiego”: „Orłowski Tadeusz >>Dr Justyn<<, s. Witolda, ur. 1917, lekarz, Ochota Kolonia Staszica, bat. >>Odwet<<, Śródmieście, 3 bat. pancerny >>Golski<<, izba chorych (Gmach Architektury, następnie Noakowskiego 20)”. Ratowanie ofiar walk w szpitaliku było traumatycznym doświadczeniem zarówno ludzkim, jak i zawodowym. Z płonącej Warszawy wyszedł wraz z Żuławskim, wynosząc na noszach rannego. Uniknęli obozów i udali się do Krakowa, a stamtąd w Tatry do Morskiego Oka, gdzie wraz z innymi przetrwali aż do wkroczenia Rosjan. Dnia 6 lutego 1945 roku, kiedy na dobre huczał działami front orawski, Tadeusz Orłowski wspinał się solo w rejonie Ciemnosmreczyńskiej Turni, dokonując pierwszych wejść zimowych.

Niejako przedłużeniem przeżyć wojennych była jego wspinaczka latem 1945 roku z Danutą Schiele na Zadni Gerlach z Doliny Batyżowieckiej, w trakcie której natknęli się na części maszyny i ciała ofiar (27) katastrofy samolotu wojskowego, rozbitego w październiku 1944 roku. O odkryciu Orłowski władze słowackie. Kolejne sezony przynosiły nowe wspaniałe przejścia. W dniach 29 i 31 sierpnia 1946 eksplorował grań Żabiej Lalki – wraz z Różą Drojecką, Wandą Henisz-Kamińską i Zdzisławem Dziędzielewiczem. W roku 1945 (ze Stanisławem Siedleckim) i 1946 (z Wilhelmem Brachem) przeszedł swoją drogę na zachodniej ścianie Łomnicy,

między Hokejką a Stanisławskim. Na Słowacji droga ta długo zwana była „Karouškiem”, gdyż V. Karoušek pierwszy ją szczegółowo opisał. Do ładniejszych osiągnięć należała „właściwa ściana północna” ulubionego szczytu Orłowskiego, Żabiego Wyżniego. Wraz z Wandą Henisz-Kamińską 6 września 1946 roku poprowadził drogę środkiem, którą opisał w „Taterniku” jako „bardzo piękną, należąca do najwspanialszych dróg tatrzańskich”. W otoczeniu Morskiego Oka dużą popularnością cieszą się do dziś „drogi Orłowskiego” na Żabim Niżnim (23 VII 1943), uskoku Zadniego Mnicha (4 IX 1946), Mnichu (10 VIII 1948), Pośrednim Mięgużowieckim (27 VIII 1948), filarze Kopy Spadowej (9 VII 1949).

W roku 1945 został toprowcem – przyrzeczenie złożył 3 września, ale już w styczniu 1946 roku wraz z Paryskimi z TOPR-u wystąpił. Odnotowano jego udział w pięciu akcjach. W końcu grudnia 1945 roku przeszedł na krótko do zakopiańskiego Polskiego Klubu Alpinistycznego, z którego 4 sierpnia 1946 wrócił na łono KW PTT. Wciąż żywo udzielał się w pracach klubu. Uczestniczył w walnych zjazdach, pracował w Komisji Rewizyjnej, szkolił adeptów. Jako członek Komitetu Redakcyjnego i przyjaciel Paryskich pozostawał blisko redakcji „Taternika”. Interesowały go sprawy programowe. Już 30 marca 1939 roku w Kole Warszawskim prowadził dyskusję nad tym, „jak winien wyglądać przewodnik po Tatrach”. W „Taterniku” nr 2-3 z 1947 roku ogłosił żywo komentowany „Program działalności wyprawowej Klubu Wysokogórskiego”, rozwinięty przez Jana K. Dorawskiego i uznany za „bardzo na czasie”.

W roku 1947 wszedł w skład ekipy pierwszego po wojnie klubowego wyjazdu w Alpy, a pobyt w grupie Mont Blanc krótko zrelacjonował w powielaczowym Biuletynie OW PTT. Wraz z Wawrzyńcem (Wawą) Żuławskim przeszedł wtedy wschodnią ścianę Aiguille de Grépon (1 VIII) oraz filar Boccalattego Mont Blanc du Tacul (16 VIII). „Wyprawa przyniosła nadspodziewanie dobre wyniki, pozwalające alpinizmowi polskiemu patrzeć śmiało w przyszłość i sięgać po sukcesy na najtrudniejszych drogach alpejskich i w najwyższych górach świata” – pisał we wspomnianej biuletynowej relacji. W 10 lat później, latem 1956 roku, odbył się ponowny wyjazd w Alpy. Dwojka Orłowski-Żuławski przeszła wschodnią ścianę Dent du Requin (16 VIII), a nawet poprowadziła nową drogę 700-metrową zachodnią ścianą Aiguille du Moine (13 VIII). Przygody alpejskie Orłowski opisał w tomie I „Tobiczyka” (1959 rok), zaś Żuławski w swoich książkach. Zimą 1948 roku był instruktorem na obozie zimowym KW, w 1949 działał w Kole

Warszawskim – wygłaszał pogadanki, prowadził referat szkolenia, został dokoptowany do Zarządu Głównego KW. Wawa był jednym z najbliższych i najlepszych partnerów Orłowskiego, który nawet nie przeczuwał, że będzie go musiał pożegnać artykułem pt. „Sp. Jerzy Wawrzyniec Żuławski” w specjalnym numerze „Taternika”.

Tymczasem wyjazdy zagraniczne i zaangażowanie naukowe oddaliły go od spraw górskich. Po kolejnym powrocie do kraju odnowił kontakty, a po śmierci Żuławskiego w Alpach 18 sierpnia 1957, zajął nawet na kilka miesięcy (do 20 grudnia 1957) hotel p.o. prezesa Klubu. 1 lipca 1960 roku wyjechał na wyprawę w Hindukusz, której był współinicjatorem, niestety obowiązki zawodowe zwróciły go już 18 lipca z Kabulu.

Mówi się, że przestrzegał reguł klasycznego wspinania, co decydowało o wysokim standardzie jego dróg. Wzorem Birkenmajera, często biwakował przy ognisku lub pod kamieniami. Dobrze pamiętają go skalne schrony w Kaczej, Ciężkiej, Batyżowieckiej, Kieżmarskiej, Czarnej Jaworowej – „moja ulubiona koleba” – jak zwykł był mawiać. W kolebie na progu Bańdziocha spędził noc przed tragiczną wspinaczką z Milechmanem. Zaangażowany w działalność zawodową i naukową, w Tatrach szukał już tylko orzeźwiającego relaksu, choć udzielał się jeszcze organizacyjnie, a dla młodych wciąż pozostawał inspiracją i wzorem. I tak kiedy w marcu 1960 roku ZG KW powołał do życia Komisję Bezpieczeństwa Górskiego, jej przewodnictwo powierzono doc. Tadeuszowi Orłowskiemu. Komisja wysunęła kilka radykalnych propozycji, które niestety nie doczekały się realizacji. Doc. Orłowski był zdania, że: „Jedną z głównych przyczyn wypadków taternickich ostatniego okresu jest, moim zdaniem, (...) dysproporcja pomiędzy sprawnością techniczną u młodzieży a doświadczeniem górskim. Nadmierna ambicja obudzona perspektywą wyjazdów zagranicznych, chęć dostania się na listę wyjazdową, pogoń za rekordem (...) to wszystko dzieje się ze szkodą dla gruntowniejszej znajomości terenu, asekuracji i niezawieszności obiektywnych (...) Proponujemy zawieszenie szkolenia dla początkujących na okres jednego roku, a w zamian za to wzmocnienie szkolenia dla zaawansowanych.” Przyjaźnił się z Puškąkami i często korzystał z ich gościny – w Kieżmarskiej Chacie i później w Smokowcu. Z Arnem przeszedł swoje ostatnie nowe drogi. Arno komunikował nam w liście z 12 listopada 1980 roku: „W sierpniu był u mnie dwa tygodnie prof. Tadeusz Orłowski. Chodziliśmy i wspinaliśmy się w Slovenskim Raju i w Tatrach. Zrobiliśmy nawet dwie nowe drogi – jedną w masywie Soliska z Młynicy (II), drugą zaś w Kopie

Popradzkiej (II–III). Opisy i schematy posłałem WHP do jego przewodnika. Starsi panowie dwaj – on 63, ja 55, razem 118.”

W wywiadach z okresu późniejszego prof. Orłowski odżegnywał się od ducha sportowego w swoim taternictwie. Było w tym jednak dużo kokieterii, gdyż jego działalność w górnych rejestrach skali trudności i śmiałe ataki na „granice ludzkich możliwości” świadczą o czymś zgoła przeciwnym. W naszych latach było w obiegu powiedzenie „ja na drogi Orłowskiego wolę chodzić na drugiego”. Członkostwo honorowe Klubu Wysokogórskiego nadał mu Walny Zjazd w 1960 roku. Książki „Moje góry” nie napisał, a szkoda, artykułów o treści górskiej zostawił niewiele, udzielił kilku wywiadów, m.in. Marii Skroczyńskiej („Turysta”) i Wojtkowi Kurtyce („Góry”). Barbarze Morawskiej-Nowak udało się wydobyć od niego większy artykuł wspomnieniowy, opublikowany w „Pamiętniku PTT” z 2003 roku. Mimo wieku i nawału spraw, wciąż interesował się górami, regularnie czytał nawet nasz skromny „Głos Seniora”. Jesienią 1994 roku uczestniczył w zlocie seniorów nad Morskim Okiem i z Wandą Henisz-Kamińską u boku, swymi wspomnieniami oczarowali słuchaczy. Zmarł 30 lipca 2008 w Warszawie, spoczął na Starych Powązkach, żegnany w pełnych holdów słowach przez wybitnych przedstawicieli nauk medycznych – rektorów i dziekanów.

W kwietniu 1961 roku wypoczywał nad Morskim Okiem wraz z literatem Juliuszem Żuławskim, bratem Wawy. Z podziwem i niedowierzaniem obserwowali obaj II zimowe przejście „lewej” Kazalnicy w wykonaniu nieznanymi im z nazwisk „dwóch młodych taterników”. Tadeusz porównywał ich styl ze swoimi drogami. „Ileż się zmieniło!” – podsumował Żuławski. Ci dwaj młodzi autorzy „nadludzkiego przedsięwzięcia” byli to Maciek Popko i Zbyszek Jurkowski. Przekorny los sprawia, że sędziwy Profesor w swoją ostatnią wędrówkę wyrusza razem z jednym z nich – Zbyszkiem Jurkowskim, młodszym o 20 lat, lecz w tych samych dniach odwołanym z tego świata. Spoczęli w dwóch różnych sekcjach Powązek, ale wspólnie zmierzają do górskiej części Nieba – z pewnością taka część istnieje, w przeciwnym razie trudno byłoby taternikom zapewnić wieczne szczęście. Żegnaj Profesorze – i w nauce, i w górach zostawiasz po sobie ślady naprawdę nie do zatarcia.

Józef Nyka

Sprostowanie:

W numerze 3/2008 autorem pożegnania Bogdana Krauze na stronie 48 jest Ludwik Wilczyński. Natomiast autorką recenzji na stronie 39-40 jest Jagoda Adamczyk-Ceranka. Za pomyłkę przepraszamy.



BĘDZIE PO PTOKACH
www.sznujprzyrode.pl

Contents:

From the Editors	1
Pharilapcha (A. Sokołowski)	2
Pamir (R. Róg)	7
Nanda Devi East – Polish Himalayan Mountaineering Debut (J. Kurczab)	16
New routes in the Tatra Mountains	20
Misteries of the Kocioł Pod Polskim Grzebieniem (A. Z. Górski, P. G. Mielus, H. F. Rączka)	24
What should be associated with a good climbing instructor (B. Kowalski)	28
The stomach muscles (K. Drozda)	30
Graphic Designer's Portfolio (M. Konecki)	33
Miscellanea	34
Our Rocks (M. Biedrzycki)	40
The Caves	43
The portrait of Marzena Skotnicówna (M. B. Bednarz)	44
The last Good Bye	45

TATERNIK

**Magazyn Informacyjny
Polskiego Związku Alpinizmu**

Nr 4/2008 (320)
Rok 82, ISSN 0137-8155

Redaktor naczelny:

Jagoda Adamczyk-Ceranka
ul. Dalemińska 6c/16a, 61-614 Poznań
tel. +48 501 109 922
e-mail: jagoda.adamczyk@pza.org.pl

Opracowanie graficzne i skład:

Wojciech Roliński
ul. Modrzewiowa 2, 62-070 Dąbrówka
tel. +48 601 098 211
e-mail: wojciech@rolinski.pl

Wydawca i dystrybucja:

Antykwariat Górski „Filar” H. Rączka
ul. Alabastrowa 98, 25-753 Kielce
tel. +48 41 345 62 19, +48 502 397 162
e-mail: filar@antykwariat-filar.pl
www.antykwariat-filar.pl



LINY DYNAMICZNE TENDON-LANEX

- impregnacja oplotu i rdzenia COMPLETE SHIELD, unikatowa impregnacja DuPONT TEFLON® fabric protector nanoszona w procesie NANOTECHNOLOGY
- fabrycznie oznaczony środek liny
- proces COMPACT - końcówki lin zakończone ultradźwiękiem
- posuw oplotu: 0mm
- węzłowość: 0,8
- certyfikaty: CE, UIAA, EN 892, CE 0408

AMBITION 10,2 mm

- wytrzymuje test na ostrej krawędzi (UIAA Sharp Edge Resistant) ciężar 80kg, współczynnik odpadnięcia 1,77; promień krawędzi 0,75mm
 - prawdziwa supernova wśród lin o średnicy 10,2mm: 12-13 normowanych odpadnięć UIAA
 - waga: 66g/m
 - siła graniczna: 8kN
 - wydłużenie statyczne: 7,4%; wydłużenie dynamiczne: 34%
- Sugerowane ceny detaliczne: 430zł (60m), 360zł (50m)**

AMBITION 10 mm

- 9 normowanych odpadnięć UIAA
 - waga: 65g/m
 - siła graniczna: 7.2kN
 - wydłużenie statyczne: 7,1%; wydłużenie dynamiczne: 33%
- Sugerowane ceny detaliczne: 450zł (60m), 380zł (50m)**



EXPRESS KONG ULTRALIGHT

Ultralekkie karabinki z wygodnym zamkiem Key Lock ułatwiają wpinanie do plaketek i innych punktów asekuracyjnych. Ekspresy sprzedawane są z gumowymi zabezpieczeniami na jednym końcu zszywanej tasiemki, które zapobiegają przesuwaniu się karabinka, co czyni wspinanie jeszcze bezpieczniejszym.

- wytrzymałość: kN \blacklozenge 23 \blacklozenge 10 \blacklozenge 9
- tasiemka: poliamid 12cm
- zamek: Key Lock
- waga kompletu: 115g
- certyfikaty: UIAA CE EN 12275:98

Sugerowane ceny detaliczne:

- karabinki polerowane 39zł/szt.
- karabinki kolorowe 45zł/szt.



KARABINKI KONG HMS

Karabinek zakręcany, przeznaczony do wpinania w punkty stanowiskowe. Polecany do asekuracji z użyciem półwyblinki, ze względu na swój kształt. Lekki karabinek szczególnie skuteczny w górach i skałkach.

- wytrzymałość: kN \blacklozenge 22 \blacklozenge 8 \blacklozenge 6
- zamek: zakręcany Key Lock
- waga: 86g
- prześwit: 25mm
- certyfikaty: EN12275, EN 362/B

Sugerowana cena detaliczna: 35zł/szt.



LONŻA KONG KKS KLETTERSTEIG

Lonża składa się z kisy (absorbora energii), 2 karabinków, pętli zszywanej oraz karabinka pomocniczego. Karabinki połączone są linami w różnych kolorach. Ceny lonż uwarunkowane są od rodzajów karabinków w nich umieszczonych.

Sugerowane ceny detaliczne:

- 190zł - KKS Rope z polerowanymi karabinkami ferrata z gumowymi zabezpieczeniami
- 210zł - KKS Rope z kolorowymi karabinkami (pokrowiec na lonżę GRATIS)
- 240zł - KKS Tango z karabinkami dwuzapadkowymi (pokrowiec na lonżę GRATIS)

Wyłączny dystrybutor marki Kong i Tendon-Lanex na Polskę - sprzedaż hurtowa:

Hurtownia Fatra

www.hurtowniafatra.pl

ul. Podgórze 1

27-600 Sandomierz

tel. 015/832-46-26

fax. 015/644-53-89